Nr. 29 (1177). Warszawa, dnia 5 (18) Lipca 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Pomnik Husa.

Doczekał się nareszcie wielki Czech pomnika w Pradze. Patryotyczne ręce rzuciły pod eń fundament d. 5 lipca na starym placu miejskim, między sędziwym, poczerniałym od lat domem radnym miasta a wspaniałą przez swoje piękno, moc i starość świątynią, niegdyś kościołem Kalikstynów, później przez Niemców „Teinkirche“ nazwanym. Pięćdziesiąt tysięcy ludzi zgromadziło się na uroczystość. Pospieszyli Czesi z obczyzny, z dalekich krain, z za Atlantyku; stawili się gorętsi z całych Czech; nie zbrakło cudzoziemców, wpośród których daremnie szukalibyśmy Polaków. Czesi umieli uszanować gościnność, ale gościom nie pozwolili się porwać i uprowadzić. Uroczystość, bez udziału duchowieństwa odbyta, miała nastrój nawskróś świecki, a przytem poważnie narodowy. Przeciągnęła się jeszcze na następny dzień — właściwą rocznicę spalenia Husa, d. 6 lipca 1415 r. Drugim jej momentem, skupiającym dusze, było przedstawienie w pięknem Narodnim Divadle; trzecim—pochód przez miasto. Ogólnie dodatniego charakteru nie starły wybryki żywiołów młodszych, wyzwanych zresztą przez studenteryę niemiecką, niegdyś wzór dla Europy, dziś najgłupszą w świecie.

Do wyciśnięcia na obchodzie narodowym piętna jedynie właściwego, godnego prawdy i czci dla zmarłych a wielkich, przyczynił się przeważnie Edward Gregr mową doskonale pomyślaną i wybornie wypowiedzianą! Oto pochód jego myśli: „W wieku panującej ciemnoty, upadku Kościoła i znieprawienia jego sług i samych rządców, pojawił się najszlachetniejszy z synów czeskiej ziemi. Po walce z Kościołem o Chrystusa zaufał słowu cesarskiemu i podążył na sąd do Konstancyi; historya pokazała, czem bywa słowo cesarskie. Spalono wielkiego męża, ale nie spalono jego nauk. Wyznawców jego wiary w kilkanaście lat później Sobór Bazylejski uznał za prawych katolików. Po dwustu leciech, w nowej wojnie religijnej ze wszystkich narodów Czesi najwięcej wycierpieć musieli za wiarę i ojczyznę. Gdzie dziś staje pomnik, tam do 21 czerwca 1621 roku płynęła krew niewinna, a dzień ten, przestępstwo to dotychczas jeszcze pomszczonem nie jest. „Ale będzie!“ — zagrzmiał tłum. Wojny husyckie — ciągnął mówca — uratowały niepodległość czeską, a co więcej jeszcze — ocaliły narodowość. Hus — rektor uniwersytetu — mowę czeską wyrwał z powodzi niemczyzny, a gdy umierał, to nietylko za wiarę, ale i za mowę ojczystą. On to, nie kto inny, jest twórcą literackiego języka czeskiego. Bez Husa nie byłoby Czechów dziś jeszcze żywych.

Wiek obecny wstrzasają inne już, niż dawniej idee: narodowe i społeczne. Dziś Czech legł Niemcowi na drodze, jak skała powstrzymująca jego pęd do panowania nad światem; dziś ma z Niemca wroga w kraju i po za krajem. „Chcą nam wydrzeć nasz język, chcą nas wynarodowić.“ „Narodzie czeski, strzeż się złudzenia, jakobyś już miał przyszłość swą pewną. Groźne chmury zasępiają twój widnokrąg.“ Przymioty przodków wzbudzone w potomkach — one jedne tylko obawy ukoić zdołają. Dziś Czesi kładą podwalinę pod pomnik na urągowisko wrogom swoim, w sercu tej złotej Pragi, na miejscu krwią męczennika zbroczonem, wobec tego domu radnego, w którym dokonał się wybór najmędrszego i najlepszego ze wszystkich jej władców: kacersko - husyckiego Podiebrada. „Oby ten pomnik był widomym znakiem naszego rozbudzenia się i rękojmią symboliczną przyszłej niepodległości i samoistności naszej!“

Wybuchy zapału w nieprzejrzanym tłumie były mimowolnem podziękowaniem od narodu za słowo zwrócone w przeszłość. Zupełne pominięcie pierwiastku wyznaniowego pozwoliło mowie utrzymać się na wysokości manifestu narodowego. Wyznanie, choćby najczystsze i najgorętsze, jeśli niema zgotować nieprawości, krzywdy i zagłady, musi się doskonale w narodowość wtopić, kornie się jej poddać, bezwzględnie jej nakazom ulegać. To lub owo, takie lub inne, mniej lub więcej racyonalistyczne życie wyznaniowe jest tylko jednym ze współczynników ogólnego życia narodowego.

Dla nowoczesnego oka męczeńska przygoda Husa ma postać ohydną — prostego mordu, niespełnionego nawet przez zaślepiony fanatyzm. Wobec stosu Husa niepodobna jest, gdy się idzie za pierwszym popędem, nie rzucić gromu na tę instytucyę, na ten bezmiar instytucyj, które, jednocząc się w średniowiecznym Rzymie od XII do XV wieku, służyły tylko za machiny gwałtu egoizmowi jednostek, znieprawieniu moralnemu, ambicyi społecznej i politycznej, żądzy stanowisk i bogactw, fanatycznej ślepocie i okrucieństwu. Nietylko ci sami, co miecz duchowny dzierżyli, ale i obałamucone przez nich miliony nie czuły, że działając i pragnąc w imię Chrystusa, Chrystusowi bluźnią. I nigdy też syn człowieczy nie doznawał tak wielkiego smutku, jak w tych wiekach ponurych, które nastąpiły po czarnych.

W nas święto praskie wzbudza jedno jeszcze drgnienie. Przed oczyma staje nam zawezwanie Jagiełły, zawezwanie Witolda na tron czeski — przez tych samych mężów, którzy snuli dalej pasmo dziejowe Husa. W wyobraźni naszej zmartwychwstają Czechy z lat 1420—30. Słyszymy jęk: „Dlaczegoście nam dłoni zbawczej nie podali? Nas bylibyście uratowali od nieszczęścia, sobie— zbudowali wielkość i zapewnili wiekuistość.“ Zapewne, historya nie zna żadnego „gdyby“; ale historya ma prawo i obowiązek rozpatrywać czynniki tych zjawisk, które się nie spełniły a spełnić się mogły, roztrząsać pobudki chwilowej namiętności i chwilowego rozumu, które przeważyły szalę wbrew stałej namiętności istnienia i stałemu rozumowi siły. Historya w odrzuceniu korony czeskiej ma prawo widzieć zmarnowanie ostatniej sposobności do odzyskania Śląska, do wytworzenia wielkiej polityki i wejścia z potęgą na owe czasy ogromną, w systemat państw zachodnich. Z zamętu owych wypadków, owych niespełnionych czynów, zawiedzionych oczekiwań, roztrwonionego uroku myśl historyka wydobywa się zbolała.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Papież żył jeszcze d. 17 b. m.; życie jego wisi już na włosku. Do liczby kandydatów przybywają: Gotti, Capecelatro, Agliardi i inni. Myśl o conclave porusza już energię camerlenga Oreglii. Umierający ma zupełną przytomność umysłu i żywo zajmuje się sprawą następstwa po sobie i przyszłym kierunkiem rządów.

Loubet d. 9 b. m. zrana opuścił Londyn. Z przemówień najważniejsze było pierwsze królewskie w Buckingham Palace o radości z odwiedzin, nietylko towarzyskiej, ale i politycznej, oraz loubetowskie w Guildhall, w obecności króla, nadające znaczenie pobytowi Delcasségo, który odbywał konferencye z Lansdownem. Z celów wskazanych żaden jeszcze nie prześwituje, jako podjęty. Jedynie prawdopodobnem jest zażegnanie sporów granicznych w Afryce i około Newfoundland. Istotną doniosłość dla obu narodów i dla świata mogłoby mieć tylko sprzymierzenie się sąsiadów rozdzielonych cieśniną Kaletańską; ale do takiego bankietu nie prędko jeszcze politycy francuscy zasiądą.

Niepokojące położenie na wschodzie Azyi nie ustaje. Są wprawdzie depesze rozpraszające obawy, które musiało wywołać doniesienie japońskiego *Szymbunu*; nic one jednak nie znaczą wobec faktu, że Japonia nie przestaje się zbroić, że w Mandżuryi nic się nie zmieniło, że na Korei nawet powaga miejscowego rządu uszczerbku doznaje, że wreszcie floty angielska i japońska objawiają trwałe ku sobie ciążenie. Przełom ministeryalny w Tokio cięży na polityce japońskiej. Prawdopodobną jest wieść zażądania przez Japonię od Chin takiego załatwienia sprawy mandżurskiej, któreby dało rękojmię zupełnego powrotu prowincyi pod panowanie chińskie. Postawa Ameryki chwiejna.

Na Węgrzech stronnictwo niezawisłości w sejmie w całym składzie swoim—82 posłów— nie przyjęło dymisyi Kossutha; ale rozpadło się d. 10 b. m. na dwa: umiarkowanych, pod dotychczasowym przywódcą, i zapaleńców, którym nieurzędownie jeszcze dotychczas przewodzi ów Barabas. Na narady rozstrzygające zebrało się tylko 55 członków klubu; rozłam dokonał się przewagą sześciu tylko głosów, wtórujących Kossuthowi. Stronnictwo ściśle już kossutowskie powtórzyło uchwałę z dnia 24 czerwca, aby zaniechać obstrukcyi; Barabas, przeciwnie, napędza do niej. Komisya wojskowa Izby przyjęła już tymczasowe prawo o zbrojności narodowej, i uchwaliła nowowniesiony projekt zaciągu wojskowego; zanim go parlament uchwali, będzie musiał rząd zobowiązać się do unarodowienia armii, choćby w najskromniejszym, byle przez Kossutha uznanym, zakresie.

W Austryi d. 9 b. m. ukazał się reskrypt cesarski, utrzymujący nadal rządy Körbera, jako człowieka zaufaniu cesarskiemu i potrzebom chwili odpowiadającego. Nie o chwili, ale o przyszłości myśleć i mówić i do niej kroki swe stosować potrzeba. Słusznie *N. Reforma* nazywa wyjście z przesilenia — łataniną.

W Marokko nowe rozruchy.

Cesarz Wilhelm po podróżach morskich z cesarzową około Rugii, popłynął pod biegun północny. W podróży ma się spotkać z królem Oskarem.

D. 13 b. m. zmarł Benjamin Kallay, wspólny minister skarbu Austro-Węgier i wielkorządca Bośni i Hercegowiny. W dziejach powierzonych mu prowincyj zapisał on się jako cywilizator niezmordowany, energiczny, który ten dziki jeszcze przed dwudziestu pięciu laty zakątek podniósł do poziomu cywilizacyi zachodnio-europejskiej, zdobywając wdzięczność, miłość i zaufanie ludności.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Wybory ściślejsze. — Niekonsekwencye z pobudek szowinistycznych — Zwiększenie się głosów polskich. Rozruchy w Laurahucie i ich skutki. — Kandydatura W. Kulerskiego. — Nowa krytyka Komisyi kolonizacyjnej.

Jeśli zdobycie 14 mandatów przy wyborach głównych było niespodzianką bardzo przyjemną i usprawiedliwiającą optymistyczne przypuszczenia co do wyniku wyborów ściślejszych, to te ostatnie sprawiły parę dość przykrych zawodów spowodowanych w pierwszym rzędzie niekonsekwentnem postępowaniem tych czynników, które mogły przechylić zwycięztwo na stronę kandydata polskiego.

Charakterystycznym jest przedewszystkiem upadek księdza Mojzykiewicza w okręgu wschowsko-leszczyńskim. Przy wyborach głównych w tym okręgu najwięcej głosów (4,833) otrzymał wolnokonserwatysta Schmidt, zaraz ponim szedł kandydat polski, ks. Mojzykiewicz, z 3,558 głosami. Ponieważ zaś centrowiec, ksiądz Tasch, otrzymał 2,375 głosów, przeto w wyborze ściślejszym pomiędzy konserwatystą-protestantem a księdzem Mojzykiewiczem wy-

---

W. Weresajew.

GWIAZDA.

POWIASTKA WSCHODNIA.

Zdarzyło się to dawnymi czasy, w kraju dalekim, nieznanym. Nad tym krajem nieustannie panowała noc ciemna; wyziewy zgniłe unosiły się z ziemi błotnistej i wisiały ciężko w powietrzu; w tej, przesiąkłej mrokiem i zgnilizną atmosferze ludzie rodzili się, wyrastali, kochali i umierali.

Lecz niekiedy podmuch wiatru rozpraszał ciężkie wyziewy i wtedy na dalekiem niebie ludzie spostrzegali gwiazdy błyszczące. Wówczas następowało powszechne święto. Ci, którzy dotąd siedzieli w swoich ciemnych, piwnicznych siedzibach, zbierali się na placach i śpiewali hymny na cześć nieba; ojcowie, pokazując dzieciom gwiazdy, pouczali je, że życie i szczęście człowieka polega na dążeniu do światła; młodzieńcy i dziewczęta chciwie wpatrywali się w niebo i z ciemności, zalegających ziemię, duchowo wznosili się ku niemu. — Do gwiazd modlili się kapłani; opiewali je poeci, uczeni badali ich drogi, określali liczbę, wyliczali wielkość i dokonali ważnego odkrycia, że gwiazdy powoli, lecz stale przybliżały się ku ziemi; dziesięć tysięcy lat przedtem, jak powiadały źródła zupełnie wiarogodne, trudno było na odległość półtora kroku zobaczyć uśmiech na twarzy dziecięcia, teraz zaś każdy swobodnie mógł to widzieć z odległości trzech kroków. Nie było najmniejszej wątpliwości, że za kilka milionów lat niebo zabłyśnie jasnemi światłami i na ziemi zapanuje wieczne, promieniste światło. Wszyscy czekali cierpliwie tych błogich czasów i z tą nadzieją umierali.

Tak przez wiele lat, pod ciepłem tchnieniem wiary zbliżania się gwiazd płynęło życie cicho i spokojnie. Razu jednego gwiazdy świeciły na niebie szczególnie jasno. Ludzie tłumnie wylegli na place, w niemym zachwycie wzlatując duchowo ku wiecznemu światłu. Naraz z tłumu dał się słyszeć głos.

„Bracia — mówił on, — jakże jasno i cudownie tam, wśród wysokich równin niebieskich, a u nas tu ciemno i ponuro! Duch mój pozostaje w ciągłem udręczeniu, gdyż nie można żyć i być wolnym w tej wiecznej ciemności. Cóż nam z tego, że za miliony lat nasi potomkowie będą się cieszyli bezustannem światłem? Nam też jest potrzebne światło, więcej powietrza i pożywienia; są nam one droższe, niż matki i ukochane. Kto wie? może jest droga do gwiazd, może my zdołamy zerwać je z nieba i zatknąć tu, wśród nas, ku radości całej ziemi! Pójdźmy zatem szukać tej drogi, pójdźmy szukać światła dla życia!“

Wśród zebranych zapanowało milczenie.

— Kto to mówił? — szeptem pytali jedni drugich.

— To Adeil, młodzieniec niedorzeczny i nieposłuszny.

I znowu pewien czas trwało milczenie.

— Miły młodzieńcze! — wyrzekł nareszcie starzec Tsur, mistrz uczonych, świecznik wiedzy. -- Wszyscy my pojmujemy twoją tęsknotę, — bo któż z nas w swoim czasie jej nie doznał? Lecz człowiek nie może zerwać gwiazdy z nieba: brzeg ziemi sięga głębokich zapadlin i przepaści, po za niemi zaś są strome skały, przez które niema drogi do gwiazd. Tak powiada doświadczenie i mądrość.

— Nie do was się zwracam, o mędrcy — odrzekł Adeil. — Doświadczenie wasze niby bielmo zasłania wam oczy, a wasza mądrość zaślepia was. — Ale odzywam się do was, młodzi i odważnego serca, do was, nieprzygniecionych niedołężną mądrością starczą.

Czekał odpowiedzi.

Jedni rzekli:

— My byśmy chętnie poszli, lecz — jesteśmy światłem i radością oczu naszych rodziców i nie chcemy czynić im przykrości.

Drudzy rzekli:

— My byśmy poszli, lecz dopiero co rozpoczęliśmy budować sobie domy i chcemy je pierw dokończyć.

Trzeci rzekli:

borcy księdza Tascha powinniby, zdawało się, przechylić zwycięztwo na stronę współwyznawcy — tembardziej, że dotychczas Polacy ułatwiali w tym okręgu wybór centrowca. Tymczasem stało się inaczej. Próżne były nadzieje, przywiązywane w pismach klerykalnych do „czystego charakteru kapłańskiego“ ks. Tascha. Pokazało się, że względy narodowe obecnie odgrywają u centrowców daleko większą rolę od wyznaniowych, że gotowi oni łączyć się zawsze z otwartymi przeciwnikami kościoła katolickiego, byle zgnębić Polaków. Najzajadlejszymi agitatorami przeciwko księdzu Mojzykiewiczowi byli właśnie proboszczowie i inni księża Niemcy z ks. Taschem na czele. Ta zdrada dotychczasowej tradycyi otworzyła oczy najnaiwniejszym z Polaków, przyczyniła się ogromnie do zrozumienia przez szersze masy ludności zacieranych dotychczas różnic narodowych pod płaszczykiem wspólności interesów wyznaniowych. Wśród Polaków panuje tak wielkie rozgoryczenie na księży katolickich - Niemców, że nawet klerykalny *Dziennik Poznański* nie może już dłużej ukrywać faktu, iż centrowcy są takimiż samymi hakatystami, jak i inni Niemcy — czy to konserwatywni czy liberalni.

Charakterystycznym też, choć niezupełnie zrozumiałym jest upadek Kulerskiego w okręgu grudziądzko-brodnickim, zwłaszcza jeśli go zestawimy ze zwycięztwem Brejskiego w chełmińsko-toruńskim, ponieważ przy wyborach głównych w obu tych okręgach wytworzyła się zupełnie jednakowa sytuacya. W pierwszym Kulerski otrzymał 12,503, inni Niemcy 1223, rozstrzygały więc głosy, oddane socyaliście — a takich było 1397. W drugim — Brejski 13,952, Niemcy 13,407, socyalista 998. W obu okręgach socyaliści rozstrzygali pomiędzy reakcyjnym hakatystą a polskim ludowcem. Zwołano zebranie przedwyborcze, na które zjawili się tak niemieccy kandydaci, idący do wyborów ściślejszych, jak i przedstawiciele polskich kandydatów. Kiedy pierwsi występowali jako reakcyoniści, to ci ostatni zupełnie formalnie uznali słuszność żądań zjazdu monachijskiego względem tych kandydatów niesocyalistycznych, których socyaliści mają popierać i zobowiązali się żądania te spełnić sumiennie. Wzamian za to przyrzekli poprzeć wszystkimi swymi głosami tak Kulerskiego jak i Brejskiego. A jednak Kulerski przepadł, zwyciężony przez „liberała“ Siega, z czego wniosek, że znaczna i to bardzo znaczna część tych wyborców, którzy oddali przy głównych wyborach swój głos na socyalistę, przy ściślejszych głosowali — wbrew własnej uchwale — za Siegem. Pokazuje się więc, że i u socyalistów niemieckich względy narodowe odgrywają niemałą rolę, że i im nie są obce tendencye polakożercze.

Te same tendencye polakożercze kazały Żydom w okręgu człuchowsko-złotowskim głosować za antysemitą Bockelem, — postępowcom niemieckim w okręgu czarnkowsko - chodzieskim za konserwatystą przeciwko kandydatom polskim. Jednem słowem przy wyborach ściślejszych, tak samo zresztą, jak i przy wyborach głównych, walka wyborcza w polskich dzielnicach Prus toczyła się pod hasłem wybitnie narodowem — pod hasłem żywiołu niemieckiego z polskim. Nienaturalny sojusz dotychczasowy Polaków z centrowcami został złamany — należy przypuszczać — ostatecznie i to powiększenie się głosów, oddanych na kandydatów polskich, jest wynikiem jedynie wzrostu świadomości narodowo-politycznej polskich mas ludowych z jednej strony, a z drugiej rozwinięcia bardziej sprężystej niż dotychczas agitacyi ze strony Polaków. Niemało, naturalnie, przyczyniły się do wzmożenia siły wyborczej ludności polskiej, wzrastające ustawicznie prześladowania i będące ich wynikiem ostateczne zerwanie młodszego pokolenia polityków polskich z dotychczasową taktyką serwilizmu. Te 95,000 głosów polskich, stanowiące dorobek czysty od czasu wyborów w r. 1898 są świadectwem wymownem, że dotychczasowy system polityki rządu pruskiego względem Polaków daje rezultaty, mało dla szowinistów niemieckich pożądane.

Jeśli się przyjrzymy z kolei poszczególnym okręgom wyborczym i wynikom głosowania z nich, to zobaczymy, że prawie na całym terenie Poznańskiego i Prus Zachodnich głosów polskich przybyło. Ubytek daje się zaznaczyć w jednym jedynym okręgu babimojsko-międzyrzeckim. Natomiast Niemcom ubyło głosów aż w siedmiu okręgach i, co najciekawsze, że w Prusach Zachodnich, a więc w prowincyi, gdzie żywioł polski jest bezporównania słabszy aniżeli w Poznańskiem, przybytek Polaków i ubytek Niemców jest największy. Głosy polskie wzrosły z 88,780 do 95,450, głosy niemieckie spadły z 116,258 do 107,744. A 45,000 głosów polskich oddanych na kandydatów górnośląskiego „Towarzystwa Wyborczego,“ stanowią wcale wymowny zadatek emancypacyi narodowej Górnego Śląska z pod wielowiekowej przewagi Niemców.

Wybory ściślejsze na Górnym Śląsku wprowadziły do parlamentu pierwszego narodowego przedstawiciela tej prowincyi, gdyż dotyczas zasiadali w Berlinie jedynie reprezentanci wyznaniowi Górnoślązaków. Wybór Korfantego, dokonany dzięki socyalistom, którzy przelali na niego wszystkie bez wyjątku głosy, oddane przy głównym wyborze na Morawskiego, stanowi niewątpliwie fakt przełomowy w dziejach tej dzielnicy, a towarzyszące temu wyborowi wypadki przyczynią się niewątpliwie daleko lepiej, od wszelkich wysiłków agitatorów, do ostatecznego złamania wpływów centrum niemieckiego i jego niby polskich lokajów w rodzaju osławionego Napieralskiego.

Czego nie dokonał bezczelny list kardynała Koppa, tego chciało dokonać na własną rękę duchowieństwo katolickie na Górnym Śląsku. Z chwilą, kiedy rozpoczęły się przygotowania do wyborów ściślejszych w okręgu Katowice-Zabrze, agitacya kleru przeciwko Korfantemu przybrała wprost potworne rozmiary. Do okręgu przemysłowego przybyli księża ze wszystkich sąsiednich powiatów i poczęli gorliwie zwalczać narodowców i socyalistów, agitujących niezmordowanie za Korfantym. Główny agitator centrum, ks. Stephan, objeżdżał jedną wieś po drugiej, z jednej strony szpiegując, czy miejscowi księża zastosowali się do rozkazu Koppa, z drugiej wygłaszając mowy przeciwko Korfantemu i jego sojusznikom. Zmobilizował on nawet tę część duchowieństwa polskiego i niemieckiego, której nie wsmak były krzyżackie zapędy otwartych hakatystów z pomiędzy kleru. Wśród pachołków Koppa odznaczał się

— Pozdrowienie tobie, Adeilu! Idziemy z tobą!

I powstało wielu młodzieńców i dziewcząt i poszli za Adeilem, — poszli w ciemną, groźną dal — a ciemność pochłonęła ich.

* * *

Upłynęło wiele czasu. O odważnej młodzieży nie było żadnych wieści. Matki opłakały swe dzieci, które tak niedorzecznie same poszły na zgubę — i — życie popłynęło dawnym trybem. Znowu w wilgotnym mroku ludzie rodzili się, rośli, kochali, umierali, żywiąc cichą nadzieję, że za tysiące stuleci światło spłynie na ziemię.

Aliści razu jednego nad ciemnym horyzontem niebo zabłysło słabem, migotliwem światłem.

— Co tam świeci? — ze zdziwieniem pytali się wzajem ludzie, schodząc się tłumnie na ulicach i placach.

Tymczasem widnokrąg rozjaśniał się z każdą godziną coraz więcej; promienie błękitne ślizgały się po mgłach, przeświecały obłoki i szeroko zalewały światłem przestworza nieba. Posępne chmury, jakby przestraszone, kłębiąc się i tłukąc bezładnie, uciekały dalej, a po niebie coraz szerzej rozchodziły się tryumfujące promienie, po ziemi zaś przebiegał dreszcz niezwykłej radości.

— Takie światło może pochodzić tylko od wiecznej gwiazdy niebieskiej, — wyrzekł w zamyśleniu stary kapłan Satzoj.

— Lecz czyż ona mogła zejść na ziemię? — zaprzeczył Tsur, mistrz uczonych, świecznik wiedzy. — Nie mamy drogi do gwiazd i od gwiazd niema drogi do nas.

A niebo rozjaśniało się coraz bardziej; naraz, daleko, nad widnokręgiem ukazał się punkt, świecący oślepiająco jasno.

„Gwiazda, gwiazda idzie!“ — zagrzmiał okrzyk radosny po całem mieście i ludzie pobiegli naprzeciw błyszczącego w dali punktu.

Jasne, jak dzień, promienie, przybliżając się, pędziły przed sobą zgniłe mgły, które rozszczepione, postrzępione miotały się w różne strony i przypadały nizko, a promienie, chłoszcząc je, rozrywały na części i wpędzały w ziemię. Oświetloną została i uwidoczniona daleka przestrzeń, ludzie ujrzeli, jak ona była szeroką, ile wolnych obejmowała obszarów i ilu ich braci mieszkało w różnych od nich kierunkach.

I spieszyli na spotkanie zbliżającej się gwiazdy.

Drogą szedł powoli Adeil i wysoko nad głową trzymał za promień zerwaną z nieba gwiazdę. Wrócił sam jeden.

— Gdzież pozostali inni? — pytano go.

— Wszyscy poginęli — odrzekł Adeil zmienionym głosem. Zginęli w zapadlinach, i przepaściach, torując drogę do nieba.

Tłum uradowany otoczył gwiazdonoścę. Dziewczęta obsypały go kwiatami, wszędzie brzmiały okrzyki zachwytu.

— Chwała Adeilowi! Chwała temu, który nam przyniósł światło!

On wszedł do miasta i zatrzymał się na placu, trzymając gwiazdę świecącą w wysoko podniesionej dłoni. I radość zapanowała w całem mieście.

* * *

Dnie biegły. —Na placu wciąż stał Adeil, a w jego podniesionej dłoni jasno świeciła przyniesiona gwiazda. Lecz poprzednia radość znikła już dawno w całem mieście i ustąpiła miejsca innemu uczuciu. Ludzie chodzili źli, zasępieni, ze spuszczonemi oczyma i unikali wzajemnie swych spojrzeń. Gdy wypadło im przechodzić przez plac, oczy ich na widok Adeila zapalały się ponurą niechęcią. Nie słyszano pieśni, ani modłów. Zamiast rozpędzonych przez gwiazdę zgniłych mgieł, nad miastem coraz liczniej zbierały się czarne, ponure chmury gwiewu, — zbierały się, rosły i naprężały, tak, że pod uciskiem ich życie stawało się nieznośnem.

I oto z wrzaskiem wybiegł na plac człowiek z pałającym wzrokiem i twarzą wykrzywioną od przepełniającego duszę gniewu.

— Precz z gwiazdą! Precz z nieszczęsnym gwiazdonoścą! — krzyczał w przystępie wściekłości. — Bracia, czyż wszyscy wy nie czujecie tego, co ja: precz z gwiazdą, precz ze światłem; ono pozbawiło nas życia i radości! Żyliśmy w mroku spokojni i szczęśliwi, cieszyliśmy się naszemi siedzibami, naszem życiem cichem. I patrzcie, co się stało? Przyszło światło i nic już nas nie cieszy. Domy nasze podobne do potwornych kup błota, liście na drzewach blade i śliskie, niby skóra na brzuchu żaby! Spojrzyjcie na ziemię — wszędzie widać

brutalnością ksiądz Świder, który miotał przekleństwa na Korfantego w kościele i na zebraniu publicznem centrowców w Laurahucie. Kiedy rozzłoszczony ustawicznem przerywaniem ksiądz-renegat krzyknął: „Niech wszyscy zwolennicy Korfantego opuszczą salę!“ — odezwały się okrzyki: „Precz z centrum! Precz z Letochą! Niech żyje Korfanty!“ Ksiądz przeląkł się i rozwiązał zebranie, a sam tylnemi drzwiami uciekł. Tłum zebrany, przed salą Ludwiga, stał, nie wiedząc, że zebranie zostało rozwiązane, i wydawał okrzyki na cześć Korfantego, a gdy nie rozchodził się tak prędko, jak chciała policya, zjawili się strażacy z sikawkami i poczęli oblewać ludzi wodą. Jeden ze strażaków skierował sikawkę w twarz blizko stojącego chłopaka i pozbawił go oka, wówczas tłum rzucił się na strażaków, odpędził ich, a sikawki połamał na kawałki. Policyantów zbito na kwaśne jabłko, poczem tłum ruszył w poszukiwaniu ks. Świdra. Ponieważ sądzono, że się ukrył w gospodzie hutniczej, przeto udano się tam i wybito w niej wszystkie szyby. Nie znalazłszy tu ks. Świdra, tłum ruszył na plebanię i tam również potłukł szyby. Tymczasem ksiądz schronił się do kościoła i, zamknąwszy drzwi na klucz, wdrapał się na wieżę. Tłum zawrócił i znowu podążył ku gospodzie hutniczej, krzycząc: „Niech żyje Korfanty!“, w końcu zatrzymał się wobec oddziału żandarmeryi z nabitymi rewolwerami w ręku.

W tej chwili z Katowic przyjechał redaktor *Gazety Robotniczej*, p. Haase, który, wdrapawszy się na mur, zwrócił się do tłumu, nakłaniając go gorąco do rozejścia się dla uniknienia nieszczęścia. Część robotników skłaniała się do tej prośby, reszta jednak żądała, aby żandarmi pochowali nabite rewolwery. Wówczas Haase zwrócił się do funkcyonaryuszy policyi i prosił ich, aby schowali broń, ręcząc za spokojne rozejście się robotników. Jakby w odpowiedzi na to, padły strzały, i na ziemi znalazł się kotlarz Trafalczyk z przestrzeloną głową. Konni żandarmi rzucili się na tłum, rozpędzając go gwałtownie, nastąpiły liczne aresztowania, z Bytomia nadbiegło wojsko, tłum został rozproszony.

Aresztowania trwały całą noc i nazajutrz. Wzięto przeszło 50 ludzi, przeważnie Bogu ducha winnych. Dla zapobieżenia nędzy żon i dzieci uwięzionych utworzyły się natychmiast dwa komitety — jeden z pomiędzy stronników *Górnoślązaka*, drugi — pod przewodnictwem Trembalskiego z Polaków i Niemców, którzy głosowali za Morawskim.

Wypadki w Laurahucie nie sterroryzowały bynajmniej ludności polskiej i nic nie pomogły centrum i katolikowcom. Korfanty został wybrany, a tej nienawiści, jaką pała obecnie lud górnośląski do germanizatorów w sutannach, nic już nie zdoła wydrzeć z serc jego. Mord w Laurahucie, podobnie jak list kardynała Koppa, są temi kroplami, które przepełniają czarę. Najciemniejszym otwierają się oczy na rabunkową gospodarkę polityczną kleru katolickiego; najnaiwniejsi żądają dziś cofnięcia się księży w progi kościoła. Jeszcze przed paru laty nie było możliwe np. takie odezwanie się *Orędownika*:

„Nastąpi także zmiana dotychczasowego, tradycyjnego stosunku ludu polskiego do księży i czynników kościelnych. Od tegorocznych wyborów rozpocznie się w całym żywiole polskim na większe rozmiary emancypacya ludu polskiego z pod wpływu księży w sprawach czysto świeckich i narodowych. Rozgłośną na cały naród pobudkę do tego dał znany list pasterski księcia-biskupa wrocławskiego—wbrew jego własnej woli!.. Emancypacya ta będzie postępowała z wzrastającą samowiedzą i samodzielnością narodową ludu, a jest ona konieczną, bo bez tego wyzwolenia się ludu z pod wpływów księży, praktykowanych w dotychczasowych rozmiarach, niema ratunku dla żywiołu polskiego pod berłem pruskiem.“

Ponieważ przy ostatnich wyborach działy się bardzo liczne nadużycia, przeto nie jest wykluczonem, że jeden a może i dwa mandaty niemieckie zostaną po pewnym czasie unieważnione. Nastąpi to jednak nie tak znowu chyba prędko, gdyż podobne sprawy są przez komisyę rugów załatwiane bardzo powoli. Natomiast już 10 lipca odbędzie się wybór uzupełniający w okręgu tuchowsko-chojnickim, gdzie został wybrany Czarliński, który zatrzymał mandat z mniej pewnego okręgu w Poznańskiem, aby umożliwić wejście do parlamentu jeszcze jednego posła polskiego.

Na wiecach przedwyborczych w obydwóch powiatach — Tuchowskim i Chojnickim — postawiono jednogłośnie kandydaturę W. Kulerskiego, wydawcy *Gazety Grudziądzkiej*, który tak niespodzianie przepadł w okręgu grudziądzkim. Nikomu ani na myśl nie przyszło, że zjazd delegatów całej prowincyi, sankcyonujący zwykle uchwałę wieców powiatowych, zechce uledz intrygom kleru i nie uzna woli wyborców. Tymczasem stała się rzecz nieoczekiwana — zjazd delegatów większością 15 głosów przeciwko 7 odrzucił kandydaturę Kulerskiego i zamianował na jego miejsce jakiegoś Sikorskiego. Ten fakt oburzający spowoduje prawdopodobnie secesyę znacznej części wyborców, którzy nie będą chcieli uznać narzuconego im kandydata. Intryga kleru, nienawidzącego Kulerskiego, jest tembardziej potępienia godna, że Kulerski znajduje się w wyjątkowo trudnem położeniu. Mianowicie wytoczono mu aż pięć procesów politycznych, które niechybnie skończą się zasądzeniem go na dłuższe więzienie. Kulerskiemu udało się po długich staraniach uzyskać urlop celem odbycia koniecznej kuracyi, zanim zasiądzie na ławie oskarżonych. Otóż mandat uniemożliwiłby ściganie Kulerskiego przez pięć lat, w ciągu których znaczna część spraw, o które ma procesy, uległaby przedawnieniu. I właśnie z tej trudnej sytuacyi postanowili skorzystać poplecznicy kleru zachodnio - pruskiego, aby uniemożliwić Kulerskiemu zdobycie mandatu, uwolnić się przy pomocy sądów niemieckich od niebezpiecznego przeciwnika politycznego. Cel przecież uświęca środki! (Kulerski został wybrany większością 63 głosów. *Red.*).

Liche wyniki Komisyi kolonizacyjnej wywołują coraz to nowe krytyki jej stron ujemnych i rady, jakby to najlepiej zło istniejące naprawić. Ciekawą jest pod tym względem praca „W kwestyi reorganizacyi Komisyi kolonizacyjnej,“ zamieszczona w piśmie *Der Reichsbote*. Autor tej pracy, człowiek dawno osiadły w Poznańskiem i doskonale znający stosunki tej prowincyi, dowodzi, że cała dotychczasowa działalność Komisyi jest błędna i do zniemcze-

---

brudną krew. Skąd ta krew? kto to wie? Ale ona przylega do rąk, jej zapach trapi nas przy jedzeniu i we śnie, zatruwa i czyni bezsilnemi nasze pobożne modlitwy do gwiazd. Nigdzie ukryć się niepodobna przed tem zuchwałem, wszystko przenikającem światłem!

Ono wdziera się do naszych domów i oto, co widzimy: wszystkie są oblepione błotem; błoto wżarło się w ściany, przesłoniło okna, gromadzi się po kątach, zatruwając powietrze. My już nie możemy całować naszych ukochanych: przy świetle gwiazdy Adeilowej stały się one wstrętniejsze, niż robak grobowy; oczy ich są blade, niby oczy stonogów, ciała miękie, pokryte plamami koloru pleśni. Gdy zaś spoglądamy na siebie, to widzimy urągowisko człowieka... Każdy nasz krok tajemny, każdy ruch ukryty oświeca to światło nieubłagane... Niepodobna żyć tak dalej! Precz z gwiazdonośćą, niech przepadnie światło!

— Precz! — pochwycił tłum. — Niech żyje ciemność! Światło gwiazd przynosi ludziom tylko szkodę i przekleństwo... Śmierć gwiazdonoścy!

Wzburzona gromada ludzi wściekłym rykiem starała się odurzyć i przytłumić przerażenie, jakiego doznawała, wygłaszając bluźnierstwa przeciw światłu i ruszyła na Adeila. Lecz gwiazda w jego dłoni świeciła tak oślepiająco, że nikt nie mógł podejść ku niemu.

— Stójcie, bracia! — krzyknął z pośród tłumu stary kapłan Satzoj. — Grzech ciężki popełniacie, przeklinając światło!.. Do czegóż my się modlimy, czemu życie zawdzięczamy, jeśli nie światłu? Lecz i ty, mój synu — zwrócił się on do Adeila — popełniłeś grzech nie mniejszy, przyniosłszy gwiazdę na ziemię. Prawda—wielki Brama powiedział: „Błogosławiony, kto dąży ku gwiazdom!“ Ale ludzie w pysze rozumu swego niewłaściwie zrozumieli słowo Wszechświatowoczczonego. Uczniowie uczni jego niepojętą treść słowa Wszechmądrego wytłomaczyli tak: ku gwiazdom człowiek winien dążyć jedynie myślami, a na ziemi mrok jest równie święcie obowiązujący, jak na niebie światło. I tę oto prawdę zdeptałeś ty, Adeilu, sięgając rozumem swoim wyżyn niebieskich. Pokutujże, mój synu, rzuć gwiazdę, i oby znów zapanował na ziemi dawny pokój!

— A choćbym ją rzucił, jak myślisz, czy pokój na ziemi nie zginął już na wieki? — spytał z uśmiechem Adeil.

A słuchającymi owładnęło przerażające przeczucie, że Adeil mówi prawdę, że dawny pokój nigdy już nie wróci.

Wtedy wystąpił naprzód stary Tsur, mistrz uczonych, świecznik wiedzy i przemówił:

— Nierozsądnie postąpiłeś, Adeilu, i niepodobna, abyś nie widział owoców swego nierozumu. Według praw przyrody, życie rozwija się powoli i powoli też przybliżają się ku ziemi gwiazdy dalekie. Przy tem ich stopniowo zbliżającem się świetle, stopniowo też przeistacza się i życie samo. Lecz ty, sprzykrzywszy sobie czekanie, na swoją odpowiedzialność zerwałeś gwiazdę z nieba i jaskrawo oświeciłeś nią życie. I jakież skutki? Same rzucają się w oczy ujemne strony naszego życia, które przedstawia się plugawo, nędznie i potwornie. Ale czyż my wcześniej nie domyślaliśmy się istnienia tych braków i czy w tem tkwiło zadanie? Niewielka to mądrość zerwać z nieba gwiazdę i oświecić nią potworności życia. Nie, ty spełniaj codzienną trudną pracę przebudowania życia; wtedy przekonasz się, czy lekko oczyścić je od brudu, czy można zmyć ten brud choćby całem morzem najjaśniejszego światła. Ile w tem dziecięcego niedoświadczenia, ile niezrozumienia warunków i praw życia! I oto zamiast radości, przyniosłeś na ziemię nieszczęście, zamiast pokoju — wojnę. A ty mógłbyś i teraz możesz być pożytecznym w życiu: rozbij gwiazdę, weź z niej mały ułamek i ten oświeci życie na tyle, ile potrzeba, by módz owocnie i rozumnie pracować dla niego.

— Słusznie powiedziałeś, Tsurze! — odrzekł Adeil. — Nie radość przyniosła tu gwiazda, lecz smutek, nie pokój, lecz wojnę. Nie tego ja pragnąłem, kiedy po stromych skałach drapałem się ku gwiazdom, kiedy dookoła mnie padali w przepaść i ginęli towarzysze... Myślałem wtedy: choć ja jeden dojdę do celu i przyniosę na ziemię gwiazdę, w której jasnem świetle życie na ziemi stanie się jasne, świetlane. Lecz, stojąc na placu i, przy świetle gwiazdy niebieskiej, patrząc na wasze życie, pojąłem, że marzenia moje były nierozumne, że światło było wam potrzebne na nie-

nia Poznańskiego dopro adzić nie może. Należy więc ją zreorganizować.

Według zdania autora tej pracy, główną wadą Komisyi jest sprowadzanie kolonistów z dalekich okolic Niemiec. Ci nie rozumieją zadań Komisyi, kupują ziemię bez konkurencyi, tanio, wyzyskując wszelkie ulgi, jakich Komisya udziela przez pierwsze lata, potem sprzedają ziemię i powracają w rodzinne strony zazwyczaj z porządnym zarobkiem w kieszeni. Sprzedaż przychodzi im łatwo, ponieważ popyt na ziemię w Poznańskiem jest bardzo wielki, a podaż dość ograniczona. Ceny ziemi podnoszą się wskutek takich tranzakcyj ogromnie, co wywołuje stosunki wprost anormalne. Na poparcie tych twierdzeń autor podaje przykład, jak jeden z kolonistów, który w r. 1897 nabył od Komisyi 120 mórg, przyczem musiał wykazać się posiadaniem 9,000 m. gotówki, sprzedał posiadłość tę po sześciu latach za 16,000 m. nowemu koloniście, który posiadał tylko 6,000 m. gotówki, a resztę ceny kupna pokrył wekslami i hipoteką. Ta sama więc posiadłość, która była obciężona tylko rentą i 1,000 m. pożyczonych przez komisyę pierwszemu właścicielowi, ma teraz do oprocentowania prócz renty 10,000 m. Dalsze skutki takich zmian są jasne. Podatki, ciężary powiatowe, gminne itd. trzeba koniecznie doliczyć do procentów i renty. Jeśli więc zamiast ludzi zamożnych wchodzą ludzie bez kapitału, z odłużoną po nad wartość własnością, wytwarzają się gminy żebracze, które niemczyzny w żadnym razie nie wzmacniają. W powyższym wypadku miejsce kolonisty, który był oszacowany na 12 m. podatku od dochodu, zajął inny, który opłaca zaledwie 1 m. 20 fen.

Autor sądzi, że gdyby osadzono niemieckich włościan miejscowych, toby nie było tak smutnych wyników. Pytanie jednak, w jaki sposób wówczas powiększałaby się ludność niemiecka Poznańskiego?

Autor ostro występuje przeciwko zwalnianiu kolonistów przez pierwsze trzy lata od wszelkich podatków, ciężarów, a nawet i renty. Zwyczaj ten demoralizuje ich, szerząc pomiędzy nimi zbytek i wymagania, nieodpowiadające stanowisku ekonomicznemu. Ulgi te z czasem wywołują wielkie rozgoryczenie, kiedy trzeba ponosić ciężary podatkowe.

Wielkim błędem Komisyi jest to, ża stawia zbyt wygórowane żądania co do kapitału, którym nabywca musi się wykazać. Komisya tworzy kolonie 50—120-morgowe i chce, aby nabywca posiadał 5—20 tysięcy marek gotówki, odsuwa więc od kupna klasę najliczniejszą — tę, która posiada 1—3 tys. m. gotówki. A przecież tylko za pomocą tworzenia małych gospodarstw możnaby rocznie osiedlić po tysiąc kolonistów, co miałoby znaczenie dla sprawy germanizacyi. Postępując tak, jak dotychczas, Komisya nie może współzawodniczyć z bankami polskimi, które, tworząc gospodarstwa drobne, w jednym roku więcej kolonistów osadzają, niż Komisya przez 17 lat swej działalności.

W dalszym ciągu autor uważa za konieczne osiedlanie pomiędzy drobnemi gospodarstwami rolników na 250—450 morgach — ludzi wykształconych, cieszących się zaufaniem powszechnem i mogących oddziaływać kulturalnie na resztę kolonistów. W końcu ostrzega przed osiedlaniem kolonistów niemieckich z Rosyi lub Galicyi, jako zupełnie nienadających się do pełnienia szczytnej misyi cywilizacyjnej.

Ciekawe jest to, że autor artykułu w *Reichsbote* poleca jako jedyny zbawienny środek na niedomaganie Komisyi właśnie to, co inni krytycy uważają za nader niepożądane i odwrotnie.

Pośrednik.

POWÓDŹ.

Nasze ziemie znowu nawiedziła ta straszna klęska, spowodowana ulewami, trwającemi w całym kraju już od dłuższego czasu. Zmiana meteorologiczna przyszła do nas z jednej strony, jak twierdzą, z Anglii i Danii, z drugiej zaś — z Karpat, i wywołała deszcze na Śląsku, w Królestwie i na Węgrzech. Powódź, która jest ich następstwem, dotknęła u nas, jak się okazuje, głównie gubernie: Radomską, Kielecką, Piotrkowską i Kaliską. Wszystkie rzeki w tej części kraju wylały, zatapiając niezmierne obszary łąk, pokrytych świeżo skoszonem sianem, pól pszenicy i żyta, oczekujących zbioru. Woda wtargnęła do wiosek, do domostw ludzkich, unosząc bydło, dobytek żywy i martwy, całe mienie biednego rolnika. Klęska jest tak ogólna i tak straszna, że rozmiarów jej dziś jeszcze określić niepodobna. W Stopnickiem, gdzie nie zdołano dotąd zatrzeć śladów wiosennego wylewu, woda przerwała znowu wał, świeżo naprawiony, i zalała całą nizinę. Setki rodzin bez dachu i chleba. Wisła, a za nią Kamienna, Nida, Szreniawa, Warta, Pilica, Prosna, Bzura, Ner, Narew, Bug, Wieprz i wiele innych wystąpiły z brzegów, szalejąc. Ludzie uchodzili, ratując już życie, nie mogąc walczyć o resztę swego dobra. Pod Warszawą od strony Pragi woda rozlała się szeroko na polach i łąkach, sięgając niezwykłej odległości i niszcząc wszelki owoc pracy ludzkiej; w samej Warszawie wtargnęła na niżej na powiślu położone ulice, przedostała się do domów i wypełniła suteryny. Saska Kępa znalazła się pod wodą, park dolny w Wilanowie zalany, wsi okoliczne zatopione, mieszkańcy utracili wszystko.

W Krakowie nie pamiętają takiego wylewu. Coś podobnego miało miejsce w 1813 r. Z Wawelu oglądać można było cały obraz: wsie okoliczne zalane aż po Łobzów i Nową Wieś, główne ulice Podgórza — pod wodą, Błonie dokoła parku Jordana i sam park zatopione. Most między Podgórzem a Krakowem w niebezpieczeństwie. W Krakowie wiele ulic zalała woda, podmulając domy i sięgając pierwszego piętra. Straty nieobliczone, szkody niepowetowane. Takiej niedoli najstarsi ludzie nie oglądali. A fale Wisły płynęły wartko, niosąc na spienionym grzbiecie mienie, życie i szczęście ludzkie.

Wał ochronny wzdłuż koryta Wisły w wielu miejscach został przerwany, Dolina rzeki Kamiennej uległa zatopieniu. Straty ogromne. Wszędzie ruina, głód, zniszczenie. Najspokojniejsze, nic nieznaczące strumyczki, przeistoczyły się w groźnie szumiące, szeroko rozlane rzeki. Wiele miejscowości, jak Ostrowiec i Kunów w gubernii Radomskiej, zostało odciętych od świata. Wszędzie grozi głód i nędza prawdopodobnie

---

doścignionej wyżynie niebieskiej, ażebyście oddawali mu cześć w uroczystych chwilach życia. Tu zaś, na ziemi, najmilszy dla was mrok, w którym może ukrywać się człowiek przed człowiekiem i, co najgłówniejsza, cieszyć się sobą, swojem ciemnem, spleśniałem życiem. Ale mimo to czuję bardziej niż przedtem, że niepodobna żyć t... em życiem, że ono każdą cząsteczką krwawego błota, każdą plamą pleśni wilgotnej woła do nieba... Zresztą pocieszę was: gwiazda moja niedługo będzie świecić. Tam, w dalekiem niebie wiszą gwiazdy i świecą własnem światłem; lecz gwiazda, zerwana z nieba i przyniesiona na ziemię, może świecić jedynie, zasilana krwią, trzymającego ją. Czuję, że życie w mojem ciele płynie ku górze i spala się w gwieździe; już wkrótce wypali się zupełnie; nie można nikomu oddać gwiazdy, ona bowiem gaśnie wraz z życiem niosącego ją i każdy musi zdobywać nową gwiazdę. A więc zwracam się do was, uczciwi i odważnego serca, do was, którzy, poznawszy światło, nie zgodzicie się już żyć w mroku. Idźcie w daleką podróż i przynoście tu gwiazdy. Długa i ciężka to droga, dla was jednak będzie ona lżejszą, niż była dla nas, którzyśmy pierwsi na nią weszli: ścieżki utorowane, kierunki wytknięte. I wy powrócicie z gwiazdami i nie braknie już ich światła na ziemi; a przy tem świetle, które wszystko przenika, niemożebnem będzie takie życie, jak teraz; wyschną błota i znikną czarne mgły; pięknie zazielenią się drzewa; ci, którzy teraz gniewnie złorzeczą gwieździe, chcąc niechcąc zajmą się przebudowaniem życia, przecież i gniew ich teraźniejszy stąd pochodzi, że przy świetle — oni to czują — niepodobna żyć tak, jak żyją teraz. Życie stanie się wielkiem, czystem i pięknem będzie ono przy świetle gwiazd, zasilanych krwią naszą. A kiedy wreszcie zejdzie ku nam niebo gwiazdziste i oświeci ludzkość, zastanie ją godną światła; wtedy krew nasza nie będzie już potrzebna, by zasilać to wieczne, nieustające światło.

Głos Adeila zerwał się nagle; blada twarz postradała ostatnie krople krwi. Zgięły się kolana gwiazdonoścy, padł, a wraz z nim gwiazda, — upadła, zasyczała w krwawem błocie i zgasła.

Ze wszystkich stron rzucił się czarny mrok i ukrył zagasłą gwiazdę; podniosły się z ziemi uśpione czasowo mgły i zakotłowały w powietrzu. Po przez te mgły widać było daleko na niebie nieśmiało świecące, bezsilne i nieszkodliwe gwiazdy.

* * *

Upłynęło wiele lat. Jak dawniej, w mroku wilgotnym ludzie rodzili się, rośli, kochali i umierali, jak dawniej życie zdawało się cichem i spokojnem, lecz w głębiach mroku nurtowały je niepokój i niezadowolenie. Ludzie starali się zapomnieć o tem, co ujrzeli przy świetle jasnem, choć krótkotrwałem. — Zatrute już były dawne ciche radości, kłamstwo wżarło się we wszystko. Bogobojnie modląc się do dalekiej gwiazdy, człowiek myślał: A jeżeli znajdzie się drugi szaleniec i przyniesie tę gwiazdę tu do nas? I język zaczynał mu się plątać, a bogobojny zachwyt ustępował miejsca tchórzliwemu dreszczowi. Ojciec uczył syna, że w dążeniu do gwiazd — życie i szczęście człowieka — a jednocześnie przychodziło mu na myśl: „No, a jeżeli w synu moim istotnie zapłonie pragnienie światła i on, na wzór Adeila, pójdzie po gwiazdę i przyniesie ją na ziemię!“ Więc ojciec pośpiesznie objaśniał synowi, że światło oczywiście dobrą jest rzeczą, lecz szaleństwem byłoby próbować ściągnąć je na ziemię, że byli tacy szaleńcy i zginęli marnie, nie przyniósłszy nikomu korzyści.

Tegoż samego uczyli ludzi kapłani, to samo wykładali uczeni. Lecz wszystkie te nauki brzmiały bezskutecznie: coraz rozchodziła się wieść, że ten lub ów młodzieniec lub dziewczyna — uciekł z gniazda rodzinnego Dokąd? Czy nie po drodze wytkniętej przez Adeila? I z przerażeniem czuli ludzie, że jeżeli znowu zabłyśnie na ziemi światło, to wypadnie, chcąc niechcąc, zabrać się do olbrzymiej pracy i nie będzie możności ukryć się przed nią gdziekolwiek.

Z niepokojem wpatrywali się w daleki, ciemny horyzont i zdawało im się, że nad nim już zaczyna migać drżący odblask zbliżających się gwiazd.

Tłomaczył *Wodnik.*

powszechna w Królestwie, Galicyi i na Śląsku.

Wobec ogromu rozpętanego żywiołu wszelki ratunek był zaledwie kroplą w morzu nieszczęścia.

W części kraju dotkniętego klęską komunikacya w wielu miejscach przerwana. Na kolei Warszawsko-Wiedeńskiej most pod Rozprzą tak uszkodzony, że pociągi zupełnie przechodzić po nim nie mogą. Podróżni muszą się przesiadać. Na kolei Kaliskiej plant podmyty w kilku miejscach spowodował zatamowanie ruchu pociągów. Burze szalejące nad Łodzią, Zgierzem, Konstantynowem, Strykowem i Głównem wyrządziły olbrzymie szkody. Z powodu uszkodzenia nasypów kolejowych na linii koluszkowskiej i obwodowej ruch pociągów wstrzymano na trzy dni.

Pilica i Wolborka wylały strasznie, zatapiając wsie, wyrywając ogromne drzewa z korzeniami, gruchocząc ze straszną siłą mosty i budowle na drodze swojej, zabierając ludziom życie i dobytek.

Bezradni wobec nieokiełznanego żywiołu, winniśmy dziś przedewszystkiem myśleć o losie tych nieszczęśliwych, których straszna klęska pozbawiła wszystkiego, rzucając na pastwę rozpaczy i nędzy. Niech w sercach naszych zabrzmi głos braterskiego współczucia dla głodnych, nagich i skostniałych, niech ręka otworzy się do szczodrej i szybkiej pomocy.

Opieka nad chorymi.

Obecne wysiłki porządnie uorganizowanych społeczeństw zmierzają ku stworzeniu i wydoskonaleniu całego szeregu instytucyj publicznych, mających na celu zapobieganie pojawieniu się choroby, lub przynoszenie trwałej ulgi w cierpieniach nieuleczalnych i w niedołęztwie późnej starości.

Naczelne miejsce wśród instytucyj społecznych tego rodzaju zajmują sanatorya dla chorych piersiowych. „Walka z gruźlicą“ stała się hasłem międzynarodowem, głoszonem przez wszystkie ludy cywilizowane. Anglia posunęła się najdalej w zrozumieniu najwyższej skuteczności zakładowego leczenia chorych piersiowych, Niemcy znów zasługują na uznanie za wzniesienie pierwszych sanatoryów ludowych. Bardzo wiele uczyniły w tym kierunku towarzystwa ubezpieczeń (kasy chorych), które zrozumiały wartość ratowania zdrowia ubezpieczonych robotników, zarówno w celu uchronienia ich od przedwczesnej niezdolności do pracy, jak i zachowania potomstwu jedynego żywiciela. W roku 1900 znajdowało się w Niemczech obok dwunastu małych, prywatnych, 49 większych zakładów leczniczych o 4,000 łóżek. Zbudowanie i urządzenie tych przeważnie dla niezamożnych ludzi przeznaczonych lecznic pochłonęło około 20 milionów marek. W tymże samym roku bliskich ukończenia było jeszcze jedenaście nowych lecznic o 1,000 łóżek, a projektowanych — 28. Do niedawna w zakładach tych otrzymywali pomoc jedynie ubezpieczeni chorzy robotnicy; w przyszłości będą one przyciągać swą działalność i na ich rodziny, przez co dopiero zupełne zwycięztwo nad gruźlicą da się osiągnąć.

Doświadczenie wykazało, że dla przebywających w zakładzie warunki klimatyczne żadnej prawie nie odgrywają roli. Sanatorya można wznosić we wszystkich klimatach, nie wyłączając dalekiej północy, byle nie brakowało czystego powietrza i wody do picia, byle grunt był łatwo przepuszczalny. Obok tego do miejsca. zasłoniętego od wiatru, słońce musi mieć wolny przystęp; a gdzie płaskość gruntu nie przedstawia ponętnej rozmaitości, tam przynajmniej lecznica powinna graniczyć z obszernymi lasami. Co się tyczy leżalni, to za wzór może służyć sanatoryum Dettweilera w Falkensteinie.

Urządzenia sanatoryalne powinny odpowiadać najsurowszym wymaganiom hygieny; szczególniejszy nacisk kładzie się na usuwanie odpadków, zbieranie brudnej bielizny i niszczenie plwocin.

Pierwsze miejsca po sanatoryach zajmują schronienia dla uzdrowionych. Doświadczenie wykazało, że dla nich pobyt w zakładzie leczniczym jest szkodliwy, już to z powodu otoczenia, już też wskutek niebezpieczeństwa powtórnego zarażenia się. Z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że zawczesne powrócenie do niedostatecznego pożywienia i wytężonej pracy może zniweczyć zupełnie dobre skutki leczenia. W roku 1900 było w Niemczech 49 publicznych schronisk dla uzdrowionych, a budowało się 19 nowych. Podobnie jak w sanatoryach najlepszym systemem okazało się zupełne oddzielenie kobiet od mężczyzn.

Do nowoczesnych instytucyj społecznych należą też przytułki dla położnic i szkoły akuszerek. Zadanie architekta w tym razie okazuje się bardzo trudnem, cała rzecz bowiem jest wysoce skomplikowana. Musi on pamiętać o potrzebie osobnych pomieszczeń dla porodów prawidłowych i nieprawidłowych, dla noworodków i umierających matek, dla lekarzy, dozorczyń i służby. Do wymagań hygienicznych trzeba dodać trudny nieraz rozkład sal, ponieważ pojedyncze chore muszą być niejednokrotnie tak umieszczone, aby ich inne nietylko nie widziały, ale i nie słyszały. W Paryżu istnieje zakład, przyjmujący na miesiąc przed rozwiązaniem w celu dostarczenia lepszego pożywienia. Anglia posiada schronienie dla rekonwalescentek po rozwiązaniu. Sam Londyn zawiera 37 takich schronisk, a Glasgow przyjmuje rocznie do swego zakładu 1,300 położnic.

Następne miejsce zajmują zakłady dla dzieci skrofulicznych i rachitycznych; z tych jedne bywają wysyłane do miejsc kąpielowych, drugie — do specyalnych zakładów nadmorskich, okazało się bowiem, że powietrze morskie wywiera na chore dzieci wpływ zbawienny.

Ogromnie ważne znaczenie mają zakłady obserwacyjne dla obłąkanych, zarówno zwyczajnych chorych, jak i przestępców; w stacyach tych zadaniem lekarza jest odróżnić prawdziwie nieszczęśliwego od symulanta.

Zakłady dla słabych na umyśle wymagają nietyle skomplikowanej budowy, ile wybornej organizacyi. Chorzy podzieleni są na odrębne grupy, stosownie do rodzaju cierpienia, wieku i płci. Głównem zadaniem zarządu jest wymyślenie dla każdego odpowiedniej, lekkiej pracy, by podtrzymać iskierkę ludzkiej inteligencyi.

Niepodobna wyliczać wszystkich zakładów, schronień i przytulisk; duch prawdziwej dobroczynności społecznej stworzył ich już cały legion. Kobieta i mężczyzna, dziecko i starzec, zdolny do pracy ale chwilowo chory i niedołężny inwalid, obłąkany i upośledzony na umyśle — wszyscy znaleźli już lub wkrótce znajdą potrzebną pomoc i opiekę. Nie zapomniano oczywiście o najnieszczęśliwszych chyba: o głuchoniemych i ociemniałych od urodzenia, którym starają się w sztuczny sposób zastąpić niewykształcone zmysły i ułatwić porozumiewanie się ze światem zewnętrznym.

dr.

Demokratyzacya uniwersytetów amerykańskich szybko postępuje w obecnym czasie skutkiem wciąż rosnącego zapału do nauki wśród klas pracujących. Wyższe uczelnie chętnie przyjmują rzemieślników wszelkiego rodzaju, którzy pragnąc zdobyć stopień naukowy, wstępują w szeregi studentów. Tej młodzieży, zazwyczaj utrzymującej się tylko z pracy rąk własnych, demokratyczne organizacye uniwersyteckie ułatwiają przeżywanie w czasie studyów, wyszukując im zajęcia poboczne, które dają zarobek. W tym celu powstało studenckie biuro stręczeń pracy w Yale od lat dwóch czynne, a w uniwersytecie kolumbijskim od roku. W pierwszym roku istnienia biura w Yale 30 studentów znalazło za jego pośrednictwem zajęcie, z którego dochody wystarczyły im na pokrycie całorocznych wydatków na utrzymanie. W drugim roku już 400 studentow uciekło się do pośrednictwa biura i 300 z nich dostarczono pracy. Najczęściej najmują się oni, jako obsługujący w restauracyach, za co zwykle otrzymują stół i pokój. W Yale nawet jadłodajnia uniwersytecka, gdzie stołuje się większość studentów, obsługiwana bywa przez takich kelnerów, co im bynajmniej w oczach kolegów ujmy nie czyni i na wzajemne między nimi stosunki nie oddziaływa. Niektórzy z pośród nich zawiązują maleńkie zrzeszenia spółdzielcze, które administrują sami, zakupują zapasy, czuwają nad kuchnią, a wzamian zato dostają darmo obiad.

Drugim rodzajem najbardziej wśród studentów rozpowszechnionego zajęcia jest doglądanie kaloryferów w domach miejskich.

Współpracownik paryskiego *Temps* opowiada, że poznał się w New Yorku ze studentem zulusem, który utrzymywał się w ten sposób. W rodzinnym swoim kraju słyszał on, że „student nielękający się pracy“ może nie bać się głodu w Ameryce. Przyjechał więc tu się uczyć medycyny, choć dla uzyskania prawa praktyki w Afryce południowej potrzebny jest dyplom angielski, lecz ma nadzieję uzyskać potem jedno ze stypendyów Cecil Rhodesa w Oksfordzie, a tymczasem tu pracuje, gdzie mu łatwo zarobić na kawałek chleba. List, który ten dziki Afrykanin napisał do studenckiego biura stręczenia zajęć, zasługuje na bliższą uwagę: „Jestem młodym Afrykaninem, z pochodzenia Zulus. Chciałbym znaleźć pracę, umożliwiającą zdobycie wykształcenia, które dostarczyłoby mi środków wychowywania w przyszłości moich rodaków. Mogę podjąć się różnych zajęć: dozoru nad końmi, palenia w kaloryferach, pilnowania ogrodu; prócz tego umiem usługiwać do stołu, myć naczynia itd. Tłomaczyłem już trochę z angielskiego na język zuluski, lecz wątpię, żeby w New-Yorku na takie tłomaczenie znalazło się jakiekolwiek zapotrzebowanie. W każdym razie nie jestem wymagający i gotówem robić wszystko.“

Zajęcia studentów, poszukujących pracy, bywają niezwykle różnorodne: w zarządach gazowych i wodociągowych dają im miejsca inspektorów; zakłady pogrzebowe również się nimi posługują; w kościołach dmą w miechy organów; ogrodnicy najmują ich do strzyżenia trawników: w hotelach i restauracyach w czasie większych przyjęć pełnią obowiązki maitre d'hôtela; są i tacy, którzy godzą się za stróżów i pilnują domu podczas nieobecności gospodarzy, odbierają bilety i pieniądze u wejścia do sal koncertowych, są posłańcami itd. itd. Niema takiego zajęcia, które nie znalazłoby amatora. Studenci amerykańscy wolni są od fałszywej ambicyi i fałszywego wstydu, przekładają nad żebraninę i jałmużnę wszelką pracę, gdyż żadnej nie uważają za poniżającą, a naukę kochają prawdziwie i gotowi wszystko dla niej poświęcić.

Biuro uniwersytetu kolumbijskiego taką niedawno rozesłało kurendę do wszystkich przemysłowców w New-Yorku: „Wielu studentów uniwersytetu kolumbijskiego wyraziło pragnienie zapracowania na opłatę własnego mieszkania i utrzymania... Gotowi są podjąć się doglądania kaloryferów, czyszczenia i mycia naczyń, chodzenia na posyłki, dozorowania koni i wogóle wszelkiej pracy, którą powierzyć im zechcą... Jeśli panowie nie potrzebujecie sami ich usług, to może będziecie łaskawi polecić ich innym...“

W czasie zajęć szkolnych tyle tylko czasu poświęcają pracy na utrzymanie, ile niezbędnie

potrzeba dla zdobycia wymagalnej na życie i mieszkanie sumy, w ciągu wakacyj zaś robią nawet oszczędności. Wielu z nich najmuje się jako przewodnicy w różnych miastach i zakładach kąpielowych; inni zostają kelnerami i maitre d'hôtel'ami w restauracyach i hotelach, inni znowu konduktorami tramwajowymi.

Taką cześć mają Amerykanie dla pracy, że żadna jej kategorya nie jest uważana za poniżającą. Zamożniejsi koledzy nie wyobrażają sobie, żeby ich szczęśliwsze położenie materyalne dawało im jakąkolwiek nad biednymi przewagę i upoważniało do pomiatania nimi, było przeszkodą dobrych stosunków i zażyłości koleżeńskiej.

A jakiem jest zachowanie się całego społeczeństwa w stosunku do tej roboczej młodzieży studenckiej — świadczy następujące ogłoszenie, które tej wiosny pojawiło się w jednym z dzienników amerykańskich: „Pobyt tego lata w Brooklynie zapowiada się szczególnie miło, gdyż towarzystwo tramwajów potrzebuje 800 dodatkowych oficyalistów i miejsca te postanowiło oddać studentom. Jaka to reklama dla Brooklyna! Uniwersytet zajdzie i do tramwaju, a jadący winni uważać się za szczęśliwych, że zamiast ordynarnych po większej części konduktorów będą mieli do czynienia z grzecznymi i wykształconymi studentami.“

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Trzeci Francuzi.

Ankieta przeciwniemiecka *Gazety Polskiej*, która swego czasu żywo poruszyła umysły i wywołała nawet fachową dyskusyę, przebrzmiała. Redakcya potrąciła na wielkiej harfie jedną strunę, na której nie dało się wygrać melodyi trwałej; nie uderzyła w ton zasadniczy, choć uderzyła w ton bardzo popularny. Ale ton popularny bywa nieraz bardzo zawodny. Społeczeństwo takie jak nasze, podlegające wewnętrznej przemianie, mało uświadomione a bardzo zdenerwowane, miewa hasła bardzo popularne a bardzo mało warte. Redakcya *Gazety Polskiej* odezwała się w chwili, kiedy istotnie Niemcy dojedli nam do żywego. Aczkolwiek ankieta przebrzmiała, aczkolwiek wielkie nadzieje zawiodły, cały wysiłek na marne nie poszedł i pójść nie mógł. Uświadomiła się pewna myśl, na pograniczu zmniejszyły się wyprawy po tombakowe runo niemieckie, wciąż się myśli o podniesieniu różnych gałęzi przemysłu naszego i woła do publiczności, aby kupowała wyrób swojski. A jednak sądzę, że nie z tego tonu należało zagrać.

Galicyjskie pisma narodowo-demokratyczne podniosły znowu swego czasu kwestyę naszego „stanu posiadania.“ Wywiązała się zacięta walka z Rusinami. Partya „wszechpolska,“ o ile ją wogóle partyą nazwać można, gdyż jest to kółko zatoczone zręcznie na miejscu zbieżnem kilku innych kół, partya ta, powtarzamy, sięga zanadto w obcą kieszeń a nie patrzy, co ma we własnej. Nie posiada ona ani jednego wytrawnego ekonomisty, ani jednego istotnego znawcy naszych stosunków rolno-fabrycznych, finansowych itd., inaczej bowiem pomimo wrodzonego rozmachu nie ośmieliłaby się przecie na te fantazye polityczno-ekonomiczne, na które się w ciągu swego krótkiego żywota ośmieliła. Nuta jej wydaje się nam z gruntu fałszywą, trafia „do serc“ wielu, ale nie trafia ani do jednego umysłu.

Wreszcie cała nasza prasa peryodyczna bez wyjątku prawie zajmuje się smutną statystyką sprzedaży w ręce niemieckie majątków polskich w Poznańskiem. Wyczerpało się cały słownik napomnień i przekleństw. Ale zasadniczego tonu jak niema, tak niema.

Gniewa nas każdy pilnik sprowadzony od Niemców, ale zupełnie się tem nie zajmujemy, że prawie cały przemysł żelazny Królestwa Polskiego znajduje się w rękach obcych. Gniewamy się na Rusinów, że wtargnęli aż po San, ale bez najmniejszego oporu wpuściliśmy Francuzów aż po Wisłę. Gniewamy się na gadzinowy fundusz hakaty niemieckiej, że w Poznańskiem co chwila jakiś skrawek ziemi polskiej zagarnia, ale nie martwi nas bynajmniej, że kapitaliści obcy są właścicielami całego naszego wspaniałego przemysłu węglowego.

Niedawno pojawił się w słowie drukowanem dość fantastyczny ale i dość prawdopodobny rachunek naszego „stanu posiadania,“ z którego wypływa, że nasz majątek przemysłowo-miejski jest trzy razy większy od naszego majątku rolnego. Otóż prawie cały ów trzykrotnie od rolnego większy majątek jest w posiadaniu rąk obcych. I to nie tam nad Sanem, nie tam nad Wartą, ale tu nad Wisłą. A my ciągle rwiemy sobie włosy z powodu spraw, które się dzieją nad Sanem, które się dzieją nad Wartą i przemilczamy zupełnie to, co się dzieje na całym obszarze pomiędzy Wisłą a Czarną Przemszą.

Kiedy w latach czterdziestych panowie nasi przebierali się przez bory, rozciągające się niemal od Częstochowy do Gliwic, pytano ich potem w Wrocławiu: azali tam ludzie mieszkają? W ciągu kilku dziesiątków lat padły owe bory pod siekierą zlatujących się ze wszystkich stron przemysłowców, wyrosły całe lasy kominów fabrycznych, powstało przeszło dwadzieścia kopalń węgla i kilka innych, narodziło się jednem słowem całe zagłębie Sosnowicko-Dąbrowskie. Wojna francusko-pruska, jak wskazują np. grafiki węglowe, zachwiała nieco ową pograniczną Amerykę. Ale rany były płytkie i wnet się zagoiły, zwłaszcza że pojawiło się nowe prawo górnicze, które oddzieliło własność powierzchni ziemi od własności bogactw kopalnych. Młodzieńczy przemysł urósł natychmiast w tytana. To, co dziś stanowi Sosnowiec i Dąbrowę, jest dziełem co najwyżej lat dwudziestu. Zaczątki tego ruchu wyszły z byłego Banku Polskiego, którego ślady działalności do dziś dnia są widoczne. Ale „wielki“ przemysł Zagłębia datuje się dopiero od pojawienia się owego prawa.

Przemysł ten stworzyli Niemcy. Cóż znaleźli na miejscu? Obywateli, którzy chętnie wyzbywali się majątków, lud, który od ciężkiej pracy stronił i którego zresztą było niewiele, dogodną dla siebie ustawę celną, która zamykała granicę przed napływem towarów „Wielkiej ojczyzny,“ skarby pod ziemią — zresztą nic. Wszystko trzeba było sprowadzić, wszystko trzeba było zrobić. Ale to wszystko zostało zrobione. Niemcy umieją pracować i chcą pracować. Przybyli z gotowemi metodami, z wypróbowaną rutyną, z wyćwiczoną armią urzędników, techników, inżynierów, sztygarów. Zagarniali, co było do zagarnięcia. Urządzali sobie drugą ojczyznę, wyraźnie to zaznaczam, drugą ojczyznę. To nie była bynajmniej rzecz najgorsza. Nie gospodarowali oni od bilansu do bilansu, nie, tworzyli projekty na lata, na dziesiątki lat. Rozumie się, że z powodu ułatwionej komunikacyi kolejowej woleli mieszkać z tamtej strony granicy i codziennie przyjeżdżać pracować z tej strony granicy; ale ponieważ wszyscy tak żyć nie mogli, przeto trzeba było tu pomyśleć o jakiemś „Heim,“ o ogródku, o szosie, o kościele, o organizacyi kas robotniczych, tak, o urządzeniu się na czas dłuższy. Zresztą blizko była ich ojczyzna prawdziwa, ich „Kulturland“; a to zawsze wywiera wpływ dodatni pod względem gospodarczym.

Ale ten raj długo trwać nie mógł. Zaczęły się i w naszem społeczeństwie budzić pewne dążenia handlowo-przemysłowe; zaczęło prawo coraz pilniej przyglądać się doli roboczej, kwestyi odpowiedzialności za wypadki w fabrykach, sądowej pochwytności dyrektorów, inżynierów, majstrów itd. A stosunki były zaiste ciekawe. Olbrzymie instytucye przemysłowe, operujące milionami, zatrudniające tysiące robotników, wysyłające całe pociągi towarów lub płodów kopalnych w głąb kraju, miały dyrekcye i zarządy za granicą, wymykały się z pod wszelkiej kontroli, lekceważyły przepisy bezpieczeństwa. Wtedy zabrała się do nich energicznie inspekcya górnicza. Tu położył ogromne zasługi inżynier okręgowy, p. Hieronim Kondratowicz, człowiek nieposzlakowanego charakteru, silnej woli i prawnik. On, można powiedzieć, wsadził sprężynę pod Niemców i zachwiał nimi. Przestrzegając konsekwentnie ustaw o odpowiedzialności dyrektorów i inżynierów za nieszczęśliwe wypadki, pociągając ich przed sąd, sprawił, iż pewnego dnia jedna z największych instytucyj przemysłowych znalazła się bez dyrektora i bez naczelnych dyrektorów, którzy, ścigani przez prokuratoryę, nie mogli się w kraju pokazać. Dawne, dobre czasy skończyły się. Właściciele, mieszkający gdzieś w Berlinie, poczuli, że trzeba instytucyom niemieckim nadać formę miejscową. Jedyną formą, która się do tego nadawała, było towarzystwo akcyjne. I wtedy nastał ów historyczny moment, w którym wtargnęli do nas — trzeci Francuzi.

Tak, oni, którzy łącznie z Belgijczykami są chyba największymi mistrzami w zakładaniu towarzystw akcyjnych, oni pomogli Niemcom, oni byli pierwszymi organizatorami tych olbrzymich instytucyj, które zajęły miejsce dawnych „Gewerkschaftów.“ Zarządy przeniesiono do Warszawy, dyrekcye do Sosnowca lub Dąbrowy. Przy tej sposobności udało się spolonizować niektóre towarzystwa. Ostatecznie Polacy poczęli się wbijać klinem zwłaszcza na posady niższe, biurowe i techniczne. Ale żywioł ten, mało wyrobiony, kształcący się dopiero w tym zawodzie, nie mógł sobie wywalczyć stanowiska pierwszorzędnego, choć była chwila po temu. Francuzi zagarniali wszystko gorzej od Niemców. A byli bez porównania twardsi od nich. „Wielka ojczyzna“ ich była bardzo daleko, dalej, niż od Niemców niemiecka: a więc bez porównania mniej skrupułów, mniej myśli o jutrze, mniej dbałości o dolę ludu oddanego ich wyzyskowi, żegluga od bilansu do bilansu, polityka na wysoką dywidendę obliczona, żadnych ustępstw dla miejscowych zwyczajów, żadnych sentymentów co do świąt, dróg, charakteru mieszkań ludzkich. Niemcy dbali jeszcze bądź co bądź o szkółki i szkoły. Francuzi dbali tylko o dywidendę. Legenda o ich elegancyi rozwiała się jak czczy dym, a natomiast brutalna bezwzględność wielokrotnie przewyższała niemiecką. Czego prawo całkiem wyraźnie nie zastrzegło robotnikom, tego się nie dawało, choćby to była najbardziej krzycząca rzecz. Dla żywiołu polskiego, złożonego czy to z urzędników, czy też z robotników, czuli pogardę. Zręczni politycy w przemyśle, stworzyli syndykat węglowy, który nawet jak miecz Damoklesa zawisł nad Warszawą. Miasto nasze, które zawsze lubi walczyć z abstrakcyą, miotało się na „dostawców węgla,“ kiedy w istocie była to jedna osoba, jeden Francuzik, który umiał zaniepokoić 600,000 mieszkańców syreniego grodu, a którego nazwiska żaden reporter nawet się nie ośmielił, czy też nie

umiał wymienić. Francuzik ten zdołał ogromnemu miastu tak zalać sadła za skórę, że zorganizował się „ratunek publiczny,“ że powstała doprawdy kwestya „paląca.“ Łatwiej było walczyć z Rusinami nad Sanem i z hakatą nad Wartą, niż z tym jednym Francuzikiem nad Czarną Przemszą, który postanowieniami swojemi wykładał nam raz po raz, co to jest „stan posiadania,“ tylko nie mogliśmy żadną miarą jego lekcyi zrozumieć. Dumni, że nasza beletrystyka wtargnęła do Paryża, nie postrzegliśmy, że ten Paryż położył rękę prawie na całym naszym węglu i na doli wszystkich istot polskich, związanych z tym węglem. Tak, wszystkich istot polskich, tych wszystkich rodzin roboczych, tych wszystkich rodzin urzędniczych, techników, inżynierów, kupców, drobnych dostawców i odbiorców, wsi, miasteczek, miast, ba, wreszcie wielkiej i wojującej o San i Wartę Warszawy.

Gdy się wtedy przypatrywałem owym stosunkom, wyczytałem właśnie w gazetach o troskach jednego z naszych bardzo wielkich panów, któremu banki belgijskie wymówiły pietnaście milionów i który musiał te pietnaście milionów umieścić w bankach angielskich na jakieś półtora od sta. Ale temu panu nie przyszło nawet do głowy, że za połowę tej sumy mógł był stać się posiadaczem najpotężniejszego towarzystwa węglowego i mieć *ośm* do *dwunastu* od sta. Polski pan! Tak, on chce być panem, ale jak on to rozumie? Być panem w swoim kraju? Mieć pod sobą z jakie dziesięć tysięcy dusz ludzkich, dźwignąć ich los, żeglować nie od bilansu do bilansu, ale od kolebki do mogiły? Nie, takich ambicyj nie ma wielki pan polski. Ale mieć w Paryżu najwspanialszy pojazd, odbyć w Indyach najwspanialsze polowanie i wydać o tem najwspanialszą książkę, przegrać w karty szalone sumy, zabłysnąć w Monaco, być prezesem jakiego towarzystwa sportowego, otrzymać w dzień ślubu telegram od urzędniczka papieskiego — oto ambicye, jakie ma wielki pan polski. Dajmy tedy spokój wielkim panom polskim i przypatrzmy się innym sferom.

Czy nie mamy pieniędzy? Och, mamy je. Połowa Królestwa Polskiego leży zdeponowana w bankach warszawskich. Mamy więc kapitały, tylko nie mamy kapitalistów. Nie mamy ludzi, umiejących rozporządzać się pieniędzmi. Niedawno jeszcze wątpiliśmy, czy dobry Polak może zostać doktorem medycyny, albo inżynierem. Trudno nam tedy nagle zrozumieć, że trzeba wykupywać tu, na miejscu, z rąk obcych to, co zwiemy naszą własnością, a co nią nie jest. Jeżeli prawie cały przemysł Królestwa Polskiego znajduje się w obcych rękach, a zaledwie drobna jego cząstka w rękach naszych, to niemal na bolesną ironię zakrawa to, iż oburzamy się, że jakiś pilniczek sprowadza się z Niemiec, którego nam Niemiec polski nie mógł wyrobić. Gdy tak pilnie czytujemy powieści historyczne, gdy pysznimy się, żeśmy nareszcie zrozumieli tajniki dziejów, nie widzimy, że pierwszy raz wtargnęli Francuzi, aby nam zabrać obyczaje, drugi raz — aby nam zabrać najdzielniejszą młódź, a teraz trzeci raz — aby nam zabrać dwa najzyskowniejsze bogactwa nasze: węgiel i żelazo.

Zaledwie rękawem musnąłem cały bezmiar zagadnienia. Możnaby o tem napisać taką książkę, jak Szczepanowskiego „Nędza Galicyi.“ I trzebaby taką książkę napisać, aby ludzie wiedzieli, że tu jest ów ton zasadniczy, w który należało uderzyć, że nasze środowisko jest zagrożone, że zostaliśmy zaatakowani w miejscu etnograficznie najczulszem, że tu zabierają nam nie skrawki, ale *centrum*, że nie są zagrożone odnóża, ale serce całego organizmu.

Jeżeli tedy może być mowa o jakiemś nawoływaniu, o szerzeniu jakichś idei, to należałoby wpajać naszemu społeczeństwu, iż pierwszym, naturalnym obowiązkiem naszym zawładnąć tem, co zwykliśmy zwać naszem i co powinniśmy czuć, że jest nasze, że nam da siłę prawdziwą, że nareszcie tylko na tej podstawie zyskamy jakiś głos w świecie. Gdybyśmy się przypatrywali zjazdom przemysłowym, owym potężnym, pracowitym i wspaniale zorganizowanym zjazdom, zapytalibyśmy zdumieni: ażali to są mieszkańcy naszej ziemi? A może znaleźliśmy się nagle w jakimś zakątku Ameryki, śród mieszaniny ludów? I gorzko powiedzielibyśmy sobie: co tu jest polskiego w tym polskim przemyśle?

Wiem, że gdybyśmy chcieli dziś wykupić wszystkie akcye „naszych“ fabryk i kopalń, to „nasi“ przemysłowcy kazaliby sobie dobrze za nie zapłacić, albo też nie sprzedaliby ich wcale. Ale nam opłaciłoby się nabyć je po cenie najwyższej; sądzę też, iż mielibyśmy sposoby zmuszenia posiadaczy do sprzedaży. Gdy cała społeczność istotnie czegoś rozumnie chce i uświadomi sobie drogi, wiodące do celu, to musi w końcu rzecz swoją przeprowadzić. A gdybyśmy istotnie stali się panami naszego przemysłu, wtedy kwestya, którą poruszyła w swej ankiecie *Gazeta Polska*, byłaby bardzo łatwą do zrozumienia.

Ale jak podziałać na opinię publiczną? Tu mogłyby pisma nasze zrobić wiele. Mniej zajmować się „divami,“ zmniejszyć stałą rubrykę „zdrowie ojca świętego,“ mniej korespondencyj drukować o Dradze, ale natomiast mieć czujne oko na wszystkie środowiska fabryczne, kierować falangę młodzieży do Łodzi, do Częstochowy, do Sosnowca, Dąbrowy itd., wytwarzać w tych miejscowościach ruch umysłowy, uczynić je przedmieściami Warszawy, być z niemi w ciągłym „kontakcie,“ starać się o rozwój prasy miejscowej, podnosić kulturalnie żywioł polski tam osiadły i — pilnować tych „trzecich Francuzów,“ patrzeć, jak się oni tam rządzą, wykazywać, jak młódź techniczna powinna się specyalizować, jednem słowem wytworzyć wielki ruch w tym kierunku, a nie kołysać społeczności do marzeń bezpłodnych popularną melodyjką.

Czy to marzenie? Zgodzę się na to, ale tylko w tym wypadku, jeśli mi powiedzą, że Polak nigdy nie będzie zdolny do tego, do czego jest zdolny — cały świat.

Ale nie bądźmy zanadto surowi, gdy doświadczenie historyczne i doświadczenie życia wskazuje nam, że takie przemiany nie dzieją się ani w ciągu jednego roku, ani w ciągu jednego pokolenia. Pomijając ludzi genialnych, powiedzieć musimy, że pewien typ ludzki wytwarza się i zmienia bardzo powoli.

Typ polskiego przemysłowca nie może powstać odrazu. Tworzy się on długo. Długo też tworzył się u nas typ wielkiego pana, typ szlachcica wiejskiego, typ wiejskiego faktora. Ale przemiany nietylko są możliwe, ale wprost zdumiewające. Współczesny Żyd np. jest prawie wyłącznie kupcem, faktorem, człowiekiem, który robi pieniądze. A jednak wszystkie świadectwa historyczne wskazują dowodnie, że w starożytnej Palestynie kupiectwo było tak pogardzone, jak w dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Jak gwóźdź między dwiema cegłami, tak jest grzech między kupującym a sprzedającym — powiada Pismo Święte. Ludność marzyła o Królestwie Bożem, o przyjściu Mesyasza — zagadnienia ekonomiczne nie istniały dla niej. Jakże odmiennym jest dzisiejszy typ europejskiego semity! Historya zmusiła Palestyńczyków do pracy i prawdopodobnie do pewnej pracy. Typ uległ zupełnej przemianie.

Typ naszego szlachcica wiejskiego ulega także gwałtownej przemianie. Ale okres tych przemian jest zazwyczaj okresem sprzeczności pomiędzy staremi nawykniemiami a nowemi potrzebami. Polak, który posiada bardzo wiele wad, posiada też bardzo wiele cennych przymiotów. Lotny umysł pozwala mu wyrywać się z kleszczów rutyny, która nieraz gubi Niemca; posiada w pracy pewną furyę, która w wielkim przemyśle jest nieoceniona. Widziałem przy robocie Polaków, Niemców, Francuzów, Włochów. I doprawdy z czystem sumieniem rzec mogę: temu narodowi mojemu brak tylko kultury przyrodzonych zdolności. Zdolności te są w stanie pewnego barbarzyństwa, nie kierowała nimi pedagogia ekonomiczna. Jeszcze jedna szczególna cecha. Zaświadczy to każdy, kto pracował w przemyśle. Polacy, niezmiernie kłótliwi, są bardzo niekarni wobec polskich zwierzchników; ale wobec obcych są niemal — niewolniczo ulegli. Cóż to jest? Brak kultury.

Ale bądźmy wciąż sprawiedliwi. Zwykłe doświadczenie poucza nas, że chłopiec najlepiej się uczy i sprawuje, gdy wszystkie klasy przejdzie w jednej szkole; natomiast podlega dyscyplinarnemu zbałamuceniu, gdy co chwila zmienia szkołę. Otóż Polak jako naród w ciągu dziejów ciągle zmieniał szkoły. Zmieniał system co sto lat albo co sto pięćdziesiąt lat. Inne narody tymczasem pracowały w jednym kierunku całe wieki. Czyż można się tedy dziwić, że Polak się rwie, że nie jest systematyczny, że tak łatwo przerzuca się z jednej ostateczności w drugą? Z dworskiej epoki Stanisławowskiej do mesyanizmu, od mesyanizmu do pracy organicznej? „Wiek nie naprawi, co popsuły wieki.“ Polityka nerwów chciałaby w ciągu jednego pokolenia naprawić stosunki. To psychologicznie niemożliwe, jeżeli prócz tego nie jest możliwie z seciny innych powodów. Przemiana typu naszego została dokonana nie wskutek naszej woli, ale wskutek parcia zewnętrznego. Czy się mylę? I tu zacytowałbym słowa lapidarne Wyspiańskiego: zróbmy nareszcie coś, coby wyłącznie od nas zależało, gdy dzieje się tyle, co nie od nas zależy.

Tu dom nasz, tu nasze główne siedlisko. Ale co najmniej połowę tego domu zajęli Francuzi, Niemcy, Belgijczycy. I nie podnoszą się przeciwko temu głosy, ale przeciwnie, powtarzamy bajki o dobroczynnym wpływie obcych kapitałów. Pamiętajmy jednak, że każdy kapitał to miecz obosieczny; jednem ostrzem wywalcza nam byt, drugiem zadaje nam rany. Oto dola każdego dzieła ludzkiego. Ale kapitał obcy, który cały czysty zysk wysyła za granicę, nie walczy o nasz byt, tylko zadaje nam rany. Zyski, jakie przynosi, nie wchodzą w tętnice naszego organizmu, ale w tętnice organizmów obcych. Kapitał obcy może dać bogactwo pewnej grupie ludzi; ale całemu społeczeństwu może tylko te bogactwa — odbierać. Przypomnijmy sobie, jak mniej więcej przed ośmiu laty pisma rosyjkie, a nawet niektóre nasze, piały hymny na cześć kapitałów obcych. A potem nastąpiła katastrofa. Kapitały obce, puszczone na wabia, stworzyły nie przemysł, ale przemysłową awanturę. Na to, aby powstał prawidłowy wielki przemysł i stał na podstawach mocnych, trzeba przemiany całego typu życia. A tego nie da się zrobić w ciągu kilku lat.

Ale można zrobić jedno. Uświadomić to sobie i dążyć do celu rozumnie. Tak, trzeba zrobić coś, coby wyłącznie od nas zależało.

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

PRZYPUSZCZALNE przyczyny epoki lodowej.

Wiadomo, że po ciepłym klimacie epoki trzeciorzędowej, gdy Europa posiadała florę zwrotnikową i podzwrotnikową, nastąpiło w początku czwartorzędu, w diluwium, takie oziębienie klimatu przy znacznym stopniu wilgoci, że lodowce, kryjące się obecnie w dolinach gór wysokich lub w okolicach biegunowych, dosięgły wtedy wysokiego stopnia rozwoju, wystąpiły z gór na okoliczne równiny i pokryły je rozległym, nieprzerwanym całunem. Tak np. lodowce alpejskie pokryły wyżynę Bawarską, wogóle — Podalpejską, a nawet nizinę Lombardzką, a lodowce skandynawskie pokryły cały ten półwysep, przekroczyły morze Niemieckie i Bałtyk, pokryły wyspy Brytańskie i znaczną część wielkiej niziny europejskiej, między innemi nasz kraj, sięgnąwszy do Sudetów i Karpat. Te dawne lodowce pozostawiły ślady swego wielkiego niegdyś rozprzestrzenienia w przeniesionych przez siebie i złożonych, po stopnieniu, rumowiskach skalnych różnej wielkości; rumowiska te są bądź nagromadzone wraz z również przeniesioną gliną, jako tak zwane moreny, bądź rozrzucone pojedynczo, jako tak zwane kamienie polne, błędne albo eratyczne. Głazy te odróżniają się od nagromadzonych przez wodę brakiem obtoczenia, zaokrąglenia, posiadają natomiast często powierzchnię wyszlifowaną, a na niej rysy, niby dyamentem wyrznięte: są to ślady, wytworzone na nich przez poruszające się lodowce, na których dolnej powierzchni znajdują się wmarznięte, ostre odłamki skał, rysujące powierzchnię głazów, po których się posuwają.

Czas tego zlodowacenia nazywamy epoką lodową lub peryodem lodowym. Ślady istnienia tej epoki, podobne do powyżej przytoczonych, znaleziono nietylko w Europie, ale także w Ameryce Północnej, gdzie zlodowacenie sięgało z północy w głąb Stanów Zjednoczonych, a także w Ameryce Południowej, mianowicie w Patagonii, w południowej Australii, w grupie gór Kościuszki itd. Badanie tych śladów wykazało, że zlodowacenie to ulegało wahaniom: po znacznem rozpostarciu lodowców następowało ich cofanie (peryod interglacyalny) i odwrotnie. Niedość na tem: zdaje się, że nietylko w dyluwium, lecz i w dawniejszych czasach dziejów ziemi, ulegała ona podobnym zlodowaceniom: zdaje się tego mianowicie dowodzić bezładne nagromadzenie nieobtoczonych, często porysowanych głazów (i konglomeraty), napotykane w różnych formacyach, zwłaszcza w węglowej (np. w Afryce Południowej, Australii i Indyach); flora węglowa, napotykana w sąsiedztwie tych osadów (glossopteris), odpowiada klimatowi chłodniejszemu.

Zmiany wahadłowe w zlodowaceniu dyluwialnem prowadziły za sobą cały szereg innych. „Wskutek wahań klimatycznych epoki lodowej — mówi Penck — wszystko zostało wprawione w ruch; pionowe zasięgi drzew, zarówno, jak linia śnieżna, wznoszą się i opadadają powielekroć; olbrzymie lodowce to rosną, to znów się cofają; próżne kotliny napełniają się wodą, stają jeziorami, które następnie znikają i znów powstają. Tundra, las i step pylny następują po sobie kolejno na tem samem miejscu. Im więcej lodu gromadzi się na lądzie. tem niżej opada poziom morza i łatwo zrozumieć, że wskutek tego zmienia się działalność licznych rzek, dążących do morza. Twarda skorupa pod wpływem zmian temperatury i zmian obciążenia, ulega wygięciom i przesunięciom. Okoliczność ta przyczyniła się też prawdopodobnie do tego, że działalność wulkaniczna w ciągu peryodu dyluwialnego odbywała się energiczniej, niż dzisiaj; w Eifelu, na wyżynie Francyi Centralnej, w Czechach północnych, na dalekim zachodzie Ameryki Północnej, gdzie dziś działalność wulkaniczna osłabła lub całkiem wygasła, odbywały się silne wybuchy. Jednakże przyczyny, które wywołały wszystkie te zmiany, a przedewszystkiem zmiany temperatury, pozostały dotąd tajemniczemi.“

Nie brak w każdym razie usiłowań rzucenia jakiegoś światła na tę zagadkę: zbudowano w tym celu wiele hipotez, nieraz wprost przeczących sobie. Hipotezy te zestawił niedawno F. Krauss w dziele *Die Eiszeit und die Theorien über die Ursachen derselben.*

* * *

Jedna z najdawniejszych hipotez, postawiona w r. 1852 przez geologa Escher von der Lintha, opierała się na błędnem pojmowaniu föhnu. Föhn jest to, jak wiadomo, suchy i gorący wiatr, wiejący w północnych dolinach Alp i wywołujący tak szybkie znikanie śniegów, iż nazwano go pożeraczem śniegu. Escher von der Linth sądził, iż wiatr ten pochodzi z Sahary; jeżeli przyczyną tego gorącego wiatru, pożeracza śniegu, jest Sahara, to i dalszy proces myślowy jest bardzo prosty: gdyby nie było Sahary, nie byłoby föhnu, klimat Alp byłby chłodniejszy, nagromadzenie lodowców większe; korzystnym zwłaszcza byłby warunek, gdyby zamiast suchego föhnu wiał z północnej Afryki wiatr wilgotny. A więc von der Linth twierdzi: Sahara była morzem, wiatr od niej wiejący, oziębiając się na Alpach, nagromadzał tam masy śniegu, które następnie, zmieniane w lód lodowcowy, rozprzestrzeniały się daleko na okoliczne równiny. Gdy jednak, wskutek podniesienia dna morskiego, morze Saharskie ustąpiło i dno jego stało się spiekłą, piaszczystą pustynią, wtedy wiatr od niej wiejący stał się gorący i suchy, zniszczył więc lody, nagromadzone przez poprzednika, sprowadził koniec epoki lodowej.

Gdy jednak badania wnętrza Sahary dowiodły, iż nie było tam dyluwialnego morza, a badania natury föhnu — że nie ma on nic wspólnego z Saharą: że wiatry mu podobne występują w różnych okolicach, nawet w Grenlandyi — że każdy wiatr wilgotny, przechodząc przez góry i spadając na doliny, osusza się i ogrzewa— hipoteza von der Lintha została naturalnie na wieki pogrzebana i tylko jeszcze w głowach dyletantów i reporterów, zwłaszcza u nas, świta ona niekiedy, jako jakaś niejasna reminiscencya.

Niedługo po hipotezie von der Lintha pojawiła się inna, związana z prądami, już nie powietrznymi, lecz morskimi.

Powierzchnia ziemi, jak wiadomo, ulega ciągłym zmianom; co przez tysiącolecia było szeroko rozlanem morzem, to, wskutek wzniesienia dna, staje się wyspą, a następnie rozległym lądem; z drugiej strony obszerny ląd przez obniżenie staje się pastwą fal morskich, staje się morzem. Nie ulega wątpliwości, że niegdyś Wielka Brytania była połączona z lądem Europy, a prawdopodobnie i całe morze Północne było lądem; niedość na tem, zdaje się być niewątpliwem, że jeszcze przy końcu trzeciorzędu Atlantyk północny był lądem, który łączył Europę z Ameryką. Za to wiele części Europy, będących obecnie lądem, zalewało morze, jak np. nizinę Węgiersko-Rumuńską wraz z kotliną Wiedeńską, oraz okolicami morza Czarnego i Kaspijskiego. Wiadomo też z poprzedniego, iż dawniej sądzono, że morze zalewało także Saharę. Prócz tego istnieje starożytny myt, przekazany nam przez Platona, jakoby pewien kapłan egipski opowiadał mu, iż na oceanie Atlantyckim istniała niegdyś wielka wyspa, większa niż Azya Mniejsza wraz z Libią, zwana Atlantis; wyspa ta miała się pogrążyć w morzu wskutek trzęsienia ziemi. Na wyspie tej istniało potężne państwo, które przy podziale ziemi między bogów przypadło Posejdonowi. W państwie tem pośród ludzi, wyrosłych na samym początku z ziemi, żyła para małżeńska, Euenor i Leucyppa, która miała jedyną córkę Kleito; dziewicę tę, po śmierci jej rodziców, pojął za żonę Posejdon. Ich pierworody syn, Atlas, został obrany przez Posejdona za najwyższego władcę wszystkich wysp i sąsiedniego lądu; od niego otrzymała wyspa miano Atlantis, od niego też został nazwany ocean Atlantycki. Ale nastąpiły gwałtowne trzęsienia ziemi i pewnej strasznej nocy pogrążył się w morze ląd Atlantydy z jego mieszkańcami.

W nowszych czasach badania geologów stwierdziły do pewnego stopnia prawdziwość dawnego istnienia Atlantydy; podczas trzeciorzędu istniało prawdopodobnie lądowe połączenie między Afryką i Ameryką; zniknięcie jednak tego lądu było prawdopodobnie rezultatem nie jakiejś gwałtownej katastrofy, lecz raczej powolnego, wiekowego obniżania się; szczątkami tego lądu Atlantydy są prawdopodobnie wyspy Azorskie, Kanaryjskie i Kapwerdyjskie.

Powyższe przykłady pokazują nam, jak dalece zmienia się rozkład lądów i wód na ziemi. Zmiany tego rozkładu muszą wywierać wpływ na kierunek prądów morskich. Weźmiemy tutaj specyalnie pod uwagę Golfstrom, który, ogrzewając Europę, przyczynił się niewątpliwie do rozwoju jej kultury.

Otóż według uczonego angielskiego, Hopkinsa, gdyby Golfstrom został odwrócony od Europy, to jej średnia temperatura obniżyłaby się o 6—7°. Gdyby równocześnie Europa północna była zalana morzem tak, iżby zimne prądy miały tu dostęp swobodny z północy, to temperatura spadłaby jeszcze o kilka stopni niżej. Hopkins sądzi, że to właśnie miało miejsce, jak również, że Sahara była morzem, a stąd wiatry gorące (sirocco, föhn) nie wiały od niej wówczas.

Co do kierunku Golfstromu, to dość przypuścić, że w owe czasy nie istniał przesmyk Panamski: ciepłe wody prądu równikowego zamiast zbierać się w zatoce Meksykańskiej, stanowiącej źródło Golfstromu, płynęłyby do oceanu Wielkiego, ku wybrzeżom Azyi.

Że niegdyś prąd ciepły oblewał brzegi Azyi północnej, to jest bardzo prawdopodobne, gdyż w peryodzie dyluwialnym żyły tam zwierzęta gruboskórne, jak mamut, i znajdowały dostateczną roślinność dla swego wyżywienia; musiał więc tam panować podówczas klimat, odpowiadający mniej więcej klimatowi Europy środkowej.

Zbudowana na tych podstawach przed czterdziestu laty hipoteza brzmi, jak następuje: „Powstanie epoki lodowej było naturalnem następstwem ukształtowania gór i kontynentów w czasie potrzeciorzędowym: morze Bałtyckie łączyło się wtedy z Białem, Anglia była połączona z lądem, a Golfstrom nie oblewał wybrzeży europejskich.“

W powyższych hipotezach grają rolę jedynie przyczyny telluryczne.

Z tego stanowiska należało jeszcze podjąć kwestyę stosunku epoki lodowej do dawnych epok geologicznych, mianowicie — kwestyę stosunku niskiej temperatury epoki lodowej do wysokiej i jedno-

stajnej na całej ziemi temperatury epok dawniejszych. Kwestyę tę podjął w nowszych czasach Probst.

Wysoka i jednostajna temperatura dawnych epok zaczyna się zmieniać dopiero z początkiem trzeciorzędu, mianowicie ujawnia się wtedy powolne obniżanie temperatury w wyższych i średnich szerokościach. To oziębianie się postępuje do epoki lodowej, następnie ta ostatnia ustępuje miejsca obecnemu klimatowi umiarkowanemu.

Probst usiłuje wytłomaczyć to również przyczynami tellurycznemi: jednostajność wysokiej temperatury dawnych epok przypisuje on przewadze morza nad lądami w dawnych epokach. Przy klimacie morskim niema tak wielkich różnic między temperaturą równika i biegunów, jak w klimacie kontynentalnym. Na wyższe szerokości morze wpływa ogrzewająco, na niższe — oziębiająco.

W trzeciorzędzie wraz z tworzeniem się lądów i gór stosunki klimatyczne zaczynają się zmieniać przedewszystkiem na dalekiej północy, która zaczyna się oziębiać: oziębienie to postępuje stamtąd pasowo ku średnim szerokościom.

Pogląd ten napotyka w ostatnich czasach na wiele wątpliwości: przekonano się, że w dawnych epokach geologicznych były lądy i wysokie góry: dzisiejsze góry Niemieckie, Francuskie itd. są zniżonymi przez spłókanie szczątkami wysokich gór dawnych epok geologicznych.

Sartorius von Waltershausen przypisywał epokę lodową podniesieniu się gór, „które przenosiły wysokością góry dzisiejsze w takim stosunku, w jakim temperatura ówczesna była niższa od dzisiejszej." Obecne złagodzenie klimatu przypisywał on późniejszemu obniżeniu się gór.

Dzisiejsza nauka nie może się zgodzić z powyższemi hipotezami, przypuszczającemi przyczyny telluryczne i lokalne, operującemi tylko jednorazowem zlodowaceniem.

Dowody kilku dyluwialnych zlodowaceń, rozdzielonych peryodami interglacyalnymi, oraz ślady epok lodowych w formacyach dawniejszych, są twardymi orzechami do zgryzienia dla zwolenników przyczyn tellurycznych lokalnych; trzeba tu nieodzownie przypuścić przyczyny potężniejsze, powszechniejsze. Jednakże zwolennicy wpływów tellurycznych, lubo powszechniejszych, nie dają za wygrane.

Tak profesor Svante Arrhenius szuka przyczyny zmian temperatury na ziemi w zmianach zawartości kwasu węglanego w atmosferze. Nowsze badania wykazały mianowicie, że pochłanianie promieni słonecznych przez atmosferę przypisać należy głównie obecności pary wodnej i kwasu węglanego, szczególniej tego ostatniego. Stąd Arrhenius stawia hipotezę, następującą: wyższa temperatura dawnych peryodów geologicznych była skutkiem większej zawartości kwasu węglanego w atmosferze; to wzmożenie zawartości kwasu węglanego mogło być poczęści skutkiem wybuchów wulkanicznych, jak np. w trzeciorzędzie, w którym wybuchy wulkaniczne grały ważną rolę. Dla wyjaśnienia epoki lodowej z obniżeniem temperatury na 4 do 5° C. trzeba przypuścić zmniejszenie kwasu węglanego tylko o 0,6 zawartości dzisiejszej; dla początku zaś trzeciorzędu z podniesieniem temperatury na 8—10° C. trzebaby przypuścić zwiększenie się kwasu węglanego na 2,72 zawartości dzisiejszej.

(D. n.).

Wacław Nałkowski.

LITERATURA I SZTUKA.

ODGŁOSY.

Wacław Berent: *Fachowiec*, wyd. II, Warsz., 1903. — Stefan Gacki: *Rozdźwięki*, Warszawa 1903.

Zadrżały pasy, koła, rozległo się warczenie, zrazu powolne, ciche, jakby lękliwe, potem głuchy pomruk przebiegł z jednego końca budynku w drugi, odezwał się przeciągły łoskot, który z każdą chwilą rósł, głębiał, potężniał, aż ryknęły wszystkie warsztaty i zagrzmiała piekielna muzyka. To potwór-fabryka zbudziła się ze snu. Zajrzyjmy do wnętrza. Już we drzwiach uderza nasze uszy przeraźliwy świst tysiąca kół obracających się w szalonym wirze tych pasów, jakiś trzask, gruchot, jęki, a wszystko to zlewa się w rozhukaną i złowieszczą melodyę. To melodya pracy fabrycznej, która już na całej wre linii. Tam, w pobliżu okna, przyszły fachowiec pochylił się nad warsztatem i z pomocą „sztamajzy" toczy kawał drzewa. Ręce jego, jeszcze niezaprawione do pracy, a w ruch puszczony warsztat z dzikim, nieubłaganym uporem nie pozwala opanować się człowiekowi. Ten niewzruszony potwór, jak żywa istota objawia swą niezłomną wolę, jak żywa istota, zmaga się z człowiekiem. Przypatrzmy się tej walce. Oto człowiek „na krążek żelazny wbił klocek drzewa, przykręcił do wystającej śruby, a zarzuciwszy sztamajzę na boczne koło, chwycił je oburącz i oparł na podstawce. Ostrze liznęło okrąglak, wióry posypały się z sykiem. Obraca swoją sztamajzę na wszystkie strony, chcąc nadać klocowi formę kuli, przyciska silniej, a z kloca zamiast kuli pozostał długi, cienki badyl — chwila, i ten prysnął. Niezrażony niepowodzeniem nabija drugi „klocek" i rozpoczyna walkę na nowo. Pot zlewa mu czoło i ręce od tej pracy mdleją, ale zawziętość ludzka musi zwalczyć opór wściekłej maszyny, musi ją opanować i poddać rozkazom swej woli. Chwila jeszcze, a człowiek odniesie zwycięztwo i z tryumfem ukaże światu owoc swej ciężkiej pracy: gładko wytoczoną kulę. Więc pracuje dalej. W tem... co to? Och nic, to tylko przez brudne, zakopcone szyby budynku fabrycznego wpadł promień słońca i wniósł do tego piekła jasność uśmiechu wiosennego. Fachowiec drgnął, oparł się na „śrubsztaku," spojrzał w okno i pobiegł myślą hen, daleko, daleko, utopił oczy w morzu pól, w złotych piaskach wybrzeża Wisły i zaduma osiadła mu na czole. Jakto? więc nawet w takim piekle marzą? Nie, tutaj wstydzą się marzeń, tutaj sekunda zapomnienia szkarłatnym rumieńcem powleka policzki. Precz z marzeniami! Do pracy! ta kula, którą fachowiec utoczy przy warsztacie, zbawi świat i społeczeństwo na nowe pchnie tory. Do pracy!

Po za fabryką istnieją inni ludzie i inna praca, ale to tylko niezdrowe marzenia. A tam za oknem śmieje się słońce i czysty lazur nieba przegląda się w Wiśle, tam wieńcem borów kołysze jakaś cicha i słodka melodya, tam pola... Nie nic!.. co znowu! Precz ze wszystkiem, co nie prowadzi do celu! Praca przy warsztacie — oto jedyna idea, której warto poświęcić wszystkie swe myśli, siły i całe swe życie!

Był czas kiedy tak twierdzono i był maturzysta, który uwierzył w to, co mówią ludzie. Więc stłumił głosy, które innej karmi żądały dla ducha i zapragnął zostać bohaterem. On im pokaże, do czego jest zdolny i nauczy ich, jak teoryę w czyn wcielać.

Upłynął rok, po nim drugi, trzeci i czwarty. Człowiek opanował maszynę, zmusił ją do posłuszeństwa i oto *fachowiec* pochwalić się może rezultatem. Więc ze drżeniem serca pokazuje swoim najbliższym gładko utoczoną kulę. Jakto? ludzie nie padają przed bohaterem na kolana, nie słychać nawet szmeru uwielbienia? Zdumienie ogarnia fachowca. Co się stało?

To tylko tragedya zbliżyła się do końca.

Potwór-fabryka wypiła młode soki życia, łoskot warsztatów zagłuszył trwożny lot myśli, biegnącej do słońca, mury fabryczne nie przepuściły ani jednego głosu ze świata, a tymczasem społeczeństwo na nowe wkroczyło tory i nowym pokłoniło się bogom. Gdy naiwne dziecko przebudziło się ze snu, usłyszało urągliwy śmiech i szyderstwo. Fachowiec zadrżał. Zwrócił się do tych, którzy pchnęli go do pracy przy warsztacie. Nie zrozumieli go i on ich już nie zrozumiał. Obejrzał się wkoło. Był sam, a w rękach pozostała mu kula. Wtedy grunt zachwiał się pod nogami i przepaść się otwarła. Najpierw spadła w nią kula, a za kulą potoczył się człowiek.

Straszna, do głębin duszy wstrząsająca tragedya, a jednak...

Jednak istnieją fachowcy przywiązani do biurek i warsztatów, przykuci na lata całe do taczki i do krwi smagani biczem, którzy po długich, długich latach znajdują wieczyste źródło odrodzenia. Duch ludzki ma siłę niepożytą i trwały jest, jak śpiż.

Więc może to tylko przykład słabości jednostki? Może...

A oto inne „Rozdźwięki." Słyszeliśmy je już dawniej. Brzmiały wtedy głośniej i potężniej i miały w sobie moc żywiołową i ból większy i głąb zawrotną, z której dna spoglądały na nas przerażone, oszalałe oczy potępieńców. Dzisiaj szłyszymy piosenkę na tę samą nutę, ale jej tony nie budzą już grozy, brzmią, jak katarynka. Czasami wprawdzie odezwie się akord silny, szczery i nieograny, ale milknie szybko, a po nim znowu płyną i płyną te same, dobrze znajome nam dźwięki.

Na wstępie wchodzimy do gabinetu.

„Pij, dopóki możesz utrzymać kieliszek w ręku. Ja piję, patrz! A teraz *zeprzyj się* na mnie, mocno! Pragnę cię czuć *całem mem ciałem*. Drżysz?"

To mówi ona, a jego odpowiedź brzmi:

„I ja będę pił, o tak, będę pił, dopóki jeszcze rozpoznawać będę, co się wkoło mnie dzieje.... Nie chcę czuć, ani myśleć, ani patrzeć. *Będę pić*, dopóki nie stoczę się na dywan..."

Na dywan? To tylko na razie, potem *on* staczać się będzie niżej i niżej, aż stoczy się w otchłań. Wówczas rozszalałe zmysły, resztki świadomości i obłęd schwycą się wzajem za bary, i zacznie się walka, długa i straszna, w której się umiera, lub z której wychodzi się złamanym i na zawsze niezdolnym „do prac wspólnego życia." Wejdźmy jeszcze do szynczku i posłuchajmy, co mówi *jego* towarzysz.

„...Straciłem wiarę w pożytek wszelkiej pracy i wszelkich wysiłków. Doszedłem do przekonania, że to wszystko na nic się nie zda. Straciłem ochotę do walki i humor do wynoszenia siebie na sprzedaż. Nie jestem ani prorokiem, ani błaznem... Marie, jeszcze jeden absynt!.."

Tak, nie jest prorokiem i nawet błaznem nie jest.. Więc kim? Acha, „Marie, *jeszcze* jeden absynt!.." No, teraz już wiemy. Prorocy nie pijali absyntu, a błaźni bywają zabawniejsi.

Ci panowie stracili już wszelką wiarę i ochotę wszelką, ale nie stracili jeszcze zmysłów, które pożądają rozkoszy i resztek sumienia, które broni ich od podłości, a które zatapiają w morzu alkoholu. Biedacy! Oni nie mają serca i znają tylko jedną duszę: swą własną i jeden tylko ból: swój własny i jedno tylko nieszczęście: swe własne. A przecież kiedyś „mieli hu-

mor do wynoszenia siebie na sprzedaż.“ To trudno! Człowiek nie rodzi się prorokiem, ani błaznem, ale szaleńcem-pijakiem nie przychodzi na świat. I oni urodzili się inni. Mieli młodość górną, marzyli i działali, lecz fale życia wielkomiejskiego grały im ponętnie i nęciły rozkoszą, a ich krew młoda wrzała namiętnością. Z zamkniętemi oczami rzucili się w odmęty tych fal. Reszty dopełniły kobiety, wyrafinowane dysputy, gabinet, absynt, Stirner, oszałamiające strzały odkorkowywanych butelek, śnieżną pianą syczący szampan i „he, he, he,“ (naturalnie!)- znowu kobiety, koniak, absynt, a przedewszystkiem ten, o którym mogą nawet nie mówić, ale którego wyczuwamy z każdego ich słowa, ten najwygodniejszy ze wszystkich bogów dzisiejszych, ta świątynia, w której ostoi szukają dusze, potępione, ten bóg, pod którego skrzydła chronią się całe gromady schorzałych i wycieńczonych. Wprawdzie czczone bożyszcze z góry spogląda na zbiegów z pod sztandarów życia i uśmiecha się do nich szyderczym uśmiechem boga i szatana. Lecz oni tego nie widzą... Oślepli! I ogłuchli: zasłuchani w odgłosy dusz własnych, nic więcej nie słyszą. A przecież wokoło nich tętni i szumi i tysiącem najróżnorodniejszych dźwięków grzmi kapela życia; w tej rozgłośnej orkiestrze rozbrzmiewają tony głębokie, jak rozpacz, bolesne i przejmujące, jak jęki dzwonów pogrzebowych, tony, które dech wstrzymują w piersiach, a czoło pokrywając chmurą zasępienia, niemoc przeradzają w czyn. Ogłuchli! Hej! czyż nic ich nie zdoła obudzić z martwoty? Nic? Czekajmy!

Nie, oni dalej rozmawiają tylko o swoich cierpieniach i o swoich bólach i dalej żyją pożądaniem i rozkoszą zmysłów.

Kiedy jednocześnie z szumem i jękami życia wpada w uszy takie niemocne, obłędne kwilenie tych panów, to mimowoli zaciskają się pięści. Oni nic nie słyszą!.. Jakże chciałoby się podskoczyć do nich i głosem grzmiącym wrzasnąć im w uszy:

— Słuchajcie!

Artur Śliwiński.

NA MARGINESIE.

Tajemnice radu. Znane własności nowo-odkrytego przez panią Skłodowską-Curie metalu radu uzupełniamy obecnie opisem nowych spostrzeżeń, wykonanych przez dr. E. S. Londona, asystenta oddziału patologii ogólnej Cesarskiego Instytutu medycyny doświadczalnej w Petersburgu. Do swoich doświadczeń badacz użył 30 miligr. czystego bromku radu, zawartego w pudełeczku z gutaperki i metalu, nakrytem tabliczką miki. Najważniejsze wyniki badań są następujące:

Rad zabija ssaki na odległość. Próby Londona zostały wykonane na 27 myszach, które ważyły od 9—16 gram., 6 myszy służyło do kontroli a 21 — do doświadczeń. Myszy były dobrze odżywiane (owsem i chlebem, zmoczonym w wodzie), trzymano je w nizkich szklannych naczyniach (po 3—4 w jednem), nakrytych siateczką cynkową, na której leżało zwykle przez 1—3 dni pudełeczko z radem, używane na krótko tylko do innych celów. Myszy, służące do kontroli, przez cały czas doświadczenia, które trwało 5 dni, wykazywały zwykłą rzeźkość i żywotność, a nawet przybywało im na wadze. Zwierzęta zaś, poddane doświadczeniu, umierały na 4 lub 5-ty dzień; objawy choroby występowały już trzeciego dnia, po ich ukazaniu się rad natychmiast został usunięty z pokrywki. Pierwsze objawy choroby polegały na zaczerwienieniu uszów i mruganiu oczu. Dalej następowały: senność, brak apetytu, ociężałość ruchów i słabe oddziaływanie na podniety mechaniczne. Na 4 dzień senność się wzmogła wraz z odrętwieniem kończyn, najpierw tylnych. Kiedy senność doszła do wyższego stopnia, odruchy się wzmogły, oddech stał się powolny, a wreszcie zaledwie dostrzegalny. Zdaje się nastąpiło osłabienie czynności mózgu, który wskutek delikatności kości czaszki jest dostępniejszy działaniu promieni. Pobudliwość rdzenia pacierzowego często się wzmagała znacznie. Tylne kończyny drętwiały naprzód dlatego, że punkt, wyjścia nerwów, dochodzących do nich, znajduje się w mózgu najwyżej i podlega naprzód działaniu promieni radu. Po upływie 4—9 godzin ustały wszystkie czynności mózgu i rdzenia pacierzowego, oddech został przerwany, poczem nastąpiła śmierć. Badania mikroskopowe wykazywały duże zmiany w skórze i korze wielkiego mózgu.

Blaszka radu z odległości wywołuje na skórze ludzkiej coś w rodzaju zimnych ran z opalenia formy najrozmaitszej, występujących jednak po bardzo natężonem działaniu. Przebieg obrażeń jest bardzo charakterystyczny, że wspomnimy tu o jednem „Dermatitis radiogenes“ (zapalenie skóry przez promienie światła). Doktór London wykonywał te doświadczenia na sobie i na swoim koledze S. W. Goldbergu. Krew tętnicza ciemnieje wskutek działania tych promieni.

Badanie działania promieni na ślepych doprowadziło do następujących wniosków: ślepi, którzy słabo odczuwają światło, zaczynają je odczuwać, jeżeli tylko zbliży się rad do jednego lub drugiego oka. Mowa tu o takich ślepych, którym znane jest odczuwawanie światła, choćby pod wpływem błyskawicy. Są bowiem tacy, na których oczy nie działa nawet światło błyskawicy. Doświadczenia, robione na nich, dały rezultaty ujemne lub wprost sprzeczne. Ślepi, którzy zachowali zdolność odczuwania światła i odróżniania go od cieniu, ale nie rozumieją formy przedmiotu, poznają w ciemnym pokoju na oświetlonym przez rad ekranie ciemne zarysy przedmiotów, odbijających się lub umieszczonych na nim.

Wszyscy ludzie otrzymują wrażenie światła w zakrytem oku, jeżeli umieścimy rad w odległości 10—15 cm. od czoła a nawet czaszki. Trzymanie radu w takiem położeniu wywołuje także senność, lecz nie u wszystkich w jednakowym stopniu. To zjawisko zależy od chorób ocznych, od podrażnienia siatkówki, albo od zbytniej jej pobudliwości. Przy niektórych chorobach siatkówki zjawia się charakterystyczne odczuwanie światła. Krystaliczna soczewka oka łagodzi uczucie światła; normalna — więcej mętna, jak to ma miejsce przy drętwieniu oka — mniej. Uczucie (wrażenie) światła umożliwia określenie położenia blaszki radu i jej ruchów w powietrzu nawet wtedy, gdy oko jedno przesłonięte czarną przepaską. London spotykał wielu ludzi, którzy odzyskiwali poczucie światła, kiedy im zbliżono rad do tyłu głowy.

Wrażenie światła, pochodzące od radu, nie objawia się, jeżeli oczy osoby obserwowanej przykryte są 3 lub 4 leżącemi jedna na drugiej rękami, lub jeśli preparat radu został zamknięty w puszce metalowej. To doświadczenie zdaje się dowodzić, że na naszą siatkówkę działają pobudzająco łatwo przenikające promienie.

Przy pomocy radu można wykonywać badania mikroskopowe w ciemnym pokoju, należy tylko w takim razie oświetlić pole widzenia mikroskopu przy pomocy dobrego (fluoryzującego) ekranu. Jeżeli się rozpatruje proszek radu przez mikroskop, widzimy jedno świecące się ziarnko na tle ciemnem.

Tyle podaje dr. London ze swej większej pracy nad doświadczeniami z radem.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Opracowana przez ministeryum skarbu reforma obowiązkowych norm wynagrodzenia robotników na wypadek kalectwa przy pracy, po przejściu wszystkich stadyów prawodawczych, wniesiona została do rozpatrzenia Rady państwa. Nowe przepisy uznają w zasadzie obowiązek fabrykanta i przedsiebiorcy do wynagrodzenia robotników, gdy wypadek nastąpił przy pracy w ich fabrykach; gdy przyczyną jest wyjątkowa nieostrożność robotnika, gdy sam z powodu lekceważenia wszelkich przepisów ostrożności naraża się na wypadek, odpowiedzialność spada wyłącznie na niego. Jako normę najwyższą wynagrodzenia ustanowiono $^2/_3$ rocznego zarobku, przytem robotnikom przysługiwać mogą rozmaite ulgi przy dochodzeniu swych praw na drodze sądowej; w razie niewypłacalności przedsiebiorstwa wynagrodzenia mają mieć pierwszeństwo przed wszelkiemi innemi należnościami; układy, zawierane dobrowolnie pomiędzy poszkodowanymi a fabrykantami i towarzystwami ubezpieczeniowemi podlegać będą rozpatrzeniu i zatwierdzeniu inspekcyj fabrycznych.

— Wobec częstych wypadków śród młodzieży szkolnej, spowodowanych nieostrożnem obchodzeniem się z bronią palmą, ministeryum oświaty wyjednało surowy zakaz sprzedaży jej osobom nieletnim.

— Wydany został okólnik do inżynierów będzińskiego okręgu górniczego, sosnowieckiego, i dąbrowskiego, ażeby dla zmniejszenia wypadków nieszczęśliwych, powodowanych oświetleniem podziemi przez dodawanie nafty do lamp olejnych, zaniechano tej oszczędności, a jednocześnie ogłoszono rozporządzenie górnikom.

— Podczas obchodu uroczystości ku uczczeniu pamięci Husa w Towarzystwie słowiańskiem w Moskwie, prezes stowarzyszenia, A. J. Czerep-Spirydowicz, nawołując Słowian do walki z Niemcami, rzekł: „Jeśli przypomnieć sobie zadania i dewizy zakonu: „Wytępienie lub zniemczenie Słowian“, to stanie się jasnem, że Słowianie winni się gotować do drugiego Grunwaldu, a dlatego, żeby rezultaty były równie świetne, jak przed 500 laty, koniecznem jest, aby Polacy, Rosyanie, Czesi i inni Słowianie znowu, jak pod Grunwaldem, podali sobie ręce i stanęli ramię przy ramieniu. Oto dlaczego święte idee Husa, idee miłości i zgody, które niegdyś pchnęły Słowian pod Grunwald, obecnie znów winny być ze szczególnym zapałem i entuzyazmem obudzone w sercach i rozpowszechnione wszędy. Póki nowy zakon krzyżacki istnieje, póty Słowianie nie powinni wypuszczać Ewangelii z jednej ręki a miecza z drugiej.“

— Według doniesienia gazet żydowskich komitet pomocy dla Żydów w Kiszyniowie zebrał w pierwszym miesiącu 736,476 rb., w tem z Ameryki 192.443 rb., z Anglii 16,001., z Austryi 10,475 rb., z Włoch 5,000 rb., z Holandyi 1,000 rb., z Niemiec 35, 675 rb., z Francyi 9,248 rb., resztę zebrano w Rosyi. Ofiary wciąż napływają. Próśb o wsparcie wniesiono 2,538. Szkody wynoszą 2,332,890 rb. Zniszczonych jest 700 mieszkań i 600 sklepów, zabitych 47, ciężko ranionych 92, lżej 345, kalek nieuleczalnych 50, wdów 35, sierot 123.

— W Krakowie na Kazimierzu krążyły wieści, że jacyś ludzie rozdają dzieciom żydowskim zatrute cukierki, wskutek czego 30 miało zachorować a 12 umrzeć. Gdy więc wieczorem ukazali się na przedmieściu trzej młodzi ludzie pp. Konrad Krzyżanowski i Trojanowski, artyści, w towarzystwie p. Wojnarowskiego, którzy tam przyszli, aby obejrzeć starą bóżnicę i plac Bawół, roznamiętniony tłum otoczył ich w jednej chwili i chciał zrewidować im kieszenie, a broniących się zbił, skopał i pokrwawił. Bezradna policya krakowska nie umiała obronić napastowanych i zasłonić przed razami rozwścieczonych Żydów, nie usiłowała też zatrzymać napastników, którzy uszli bezkarnie.

— W gazetach galicyjskich podano wiadomość, jakoby Koło polskie zamierzało domagać się od rządu, aby postarał się o wyjęcie Księstwa Cieszyńskiego z pod zawiadywania biskupa wrocławskiego.

— W Wolmarze, w gub. Liflandzkiej, pociągnięto do odpowiedzialności sądowej pastora Treya i Wilmę Danenberg pod zarzutem utrzymywania szkoły potajemnej, oraz nauczania dzieci bez posiadania dyplomu odpowiedniego. Śledztwo sądowe stwierdziło, że p. Trey, ojciec kilkorga dzieci, spraszał na naukę wspólną dzieci sąsiadów; w ten sposób nauki pobierało 9-ro dzieci. Wykładali: sam pastor Trey, oraz panny Akennay i Danenberg; ta ostatnia wykładała języki obce i istotnie nie posiadała dyplomu nauczycielskiego. Obrońca obwinionych twierdził, że przepisy o nauczaniu wspólnem, wydane są tylko dla Królestwa Polskiego i gub. zachodnich, w innych zaś pro-

wincyach państwa wspólne nauczanie nie podlega żadnym ograniczeniom, i że setki nauczycielek domowych, Francuzek i Niemek, nie posiada dyplomów, lecz nikt na to nie zwraca uwagi. Sąd ryski oddalił zarzut otwarcia szkoły potajemnej, lecz za nauczanie bez odpowiedniego dyplomu skazał pastora Treya na 3 rb., a p. Danenberg na 1 rb. kary. (*Kur. Warsz.*).

— Komisarz do spraw emigracyjnych Stanów Zjednoczonych zażądał od swego rządu ograniczenia napływu emigrantów analfabetów z Europy. Wykazuje on, że w maju r. b. na 137,000 wychodźców przybyło ich z Austro-Węgier 32,000, z Włoch 37,000, z Rosyi 17,000.

Z Poznańskiego. W sprawie zaburzeń wyborczych w Laurahcie i Zabrzu wniesiona będzie skarga o ciężkie zakłócenie spokoju publicznego. Rozprawy toczyć się mają na nadzwyczajnych sesyach sądu przysięgłych w Bytomiu i Gliwicach. Oskarżonych jest 115 osób, z tych 48 uwięziono.

— *Orędownik* donosi, że koloniści, którzy skutkiem namowy komisyi kolonizacyjnej wyemigrowali z Rosyi do Księstwa Poznańskiego, opuszczają ofiarowane im osady i powracają w dość znacznej liczbie do dawnych siedzib.

— Izba karna w Gliwicach skazała p. Józefa Siemianowskiego, redaktora *Głosu Śląskiego*, na 6 miesięcy więzienia, za artykuł, umieszczony w dodatku do tego pisma, zawierający wezwanie do uczenia się języka polskiego, a według orzeczenia sądu „wezwanie do nieposłuszeństwa względem nauczycieli.“

— Prezes regencyi opolskiej rozesłał do wszystkich inspektorów szkolnych przypomnienie zakazu, ażeby nauczyciele nie zapisywali się na członków jakichkolwiek stowarzyszeń polskich.

— Przed izbą karną w Berlinie toczyła się sprawa przeciw właścicielowi drukarni Königowi, oraz redaktorowi *Berliner Morgenpost*, Georgeowi, za pomieszczenie w gazecie artykułu Meyera, w którym powiedziano, że nauczyciel Weichel z Chojnic jest podejrzany o zamordowanie gimnazisty Winklera, George skazany został na rok więzienia, Meyer na 500 m., a König na 300 m. kary.

— Z kopalni Heinic wydalono 35 robotników polskich za udział w agitacyach wyborczych.

Szkoły i wychowanie. *Prawit. Wiest.* ogłosił okólnik ministra oświaty do kuratorów okręgów naukowych w sprawie upadku dyscypliny w średnich zakładach naukowych i po części w szkołach miejskich, rozprzężenia wśród wychowańców i szkodliwego kierunku wśród uczniów klas wyższych. Minister zaleca sposoby wpływania wychowawczego na młodzież, celem usunięcia zjawisk podobnych.

Wiadomości naukowe. Dr. Jan Charcot z Paryża, wyruszyć ma z Hawru do bieguna południowego w celu odszukania Nordenskjölda, jest bowiem przypuszczenie, że okręt ściśnięty został przez lody, a członkom wyprawy brak żywności. Fundusz na poszukiwanie powstał ze składek publicznych, zebranych przez dziennik *Matin*.

Ze sztuki. W Poznaniu utworzyło się Towarzystwo sztuk pięknych.

— W Dobromilu, w Galicyi, odsłoniono pomnik Mickiewicza.

Zdrowie publiczne. W Warszawie zbudowany będzie zakład dezynfekcyjny, miejski oraz palenia śmieci. Koszt budynku i urządzenia obliczono na 45,000 rb.

— W Tomsku rozpoczęto budowę okręgowej lecznicy psychiatrycznej, która wzniesiona będzie kosztem 2 milionów rubli.

Koleje i komunikacye. Na odbytej w Berlinie międzynarodowej konferencyi kolejowej postanowiono przedłużyć linię stale kursującego pociągu „Nord-Express,“ Warszawa-Paryż-Ostenda, na Moskwę do Mandżuryi i Pekinu.

Katastrofy. W Szawlach gub Kowieńskiej, pożar zniszczył kilkadziesiąt domów; w Horodnicy, gub. Wołyńskiej zgorzało 75 domow; miasteczko Różany w gub. Mohylewskiej spaliło się prawie doszczętnie— we wszystkich tych miejscowościach zapanowała nędza śród ludności ubogiej.

— Skutkiem silnych upałów w Ameryce północnej zmarło kilkaset osób, od porażenia słonecznego.

— W blizkości stacyi Rockfish, w stanie Wirginia Amer. Pół., pociąg osobowy wiozący emigrantów galicyjskich do Kalifornii, zetknął się z towarowym; 27 osób zostało zabitych, kilkadziesiąt ciężko ranionych.

Zmarli. Witold Leitgeber, redaktor *Gazety Ostrowskiej*.

— Telesfor Trojanowski, b. redaktor *Kuryera teatralnego*.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu A. M. Fundusz, o którym Pan wspomina, obrócono w części na wydawnictwa, ktorych koszt był znaczny. Rezultat będzie wiadomy po pokryciu wydatków i otrzymaniu rachunków, co nastąpi z końcem r. b. Rzecz tę w dalszym ciągu energicznie prowadzić się będzie i poleca się życzliwości i poparciu ogółu.

SPROSTOWANIE. W nr. 28 na str. 326, szp. 3 wiersz 3 od góry, zamiast „katolickich,“ winno być „krakowskich.“

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 3 Іюля 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.